№ 16. Warszawa, dnia 16 (4) Kwietnia 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: W imieniu ogółu. — Poczucie barw w świetle teoryi rozwoju p. H. Goldberga. — Dziki Tomek powieść p. W. Marrené. — Sprawy kobiet E. Legouvé p. A. Sygietyńskiego. — Leopolitana p. Juniusa. — Ludność Polski w r. 1791 p. W. Smoleńskiego.— Hypnotyzm. — Pogadanki naukowe p. J. Baudouina de Courtenay. — Wykłady publiczne. — Piśmiennictwo polskie: Chemia F. Tomaszewskiego p. l. Boguckiego. — Liberum veto. — Proces przeciw sprawcom zamachu 13 marca. — Tydzień polityczny. — Kronika bieżąca. — Ogłoszenia.

W IMIENIU OGÓŁU.

Po ciszy, po kilkunastoletniej ciszy znowu w naszej publicystyce gwarno. Sprawy popisów teatralnych, intryg w Tow. Muzycznem i nieurodzonych arcydzieł ustąpiły miejsca sprawom politycznym i społecznym. Na tych strunach zagrały rozmaite palce i z rozmaitego tonu. Pojawiły się listy otwarte, zaprzeczenia, wyjaśnienia, a nawet programy! Ludzie, którzy dawniej myśleli tylko o dostaniu abonamentu na przedstawienia p. Modrzejewskiej, myślą dziś o przebiciu swym głosem ogólnej wrzawy. Naturalnie wrzawa ta rozległa się głównie w kolumnach prasy poznańskiej i galicyjskiej, u nas zaś prostujący ścieżki polityczne uciekają z ciasnych warunków dziennikarstwa polskiego i zakryci bezimiennością lub odsłonięci zatykają swe drogoskazy na gruncie dzienników rosyjskich. Tak postąpił margr. Wielopolski w *Poriadku*, tak postąpili: polski publicysta w *Gołosie* i jakiś S. L. w *Nowostiach*. O drugim z tych głosów pomówimy oddzielnie i obszernie, dziś porachujemy się tylko z ogólną zasadą owych wystąpień, do czego pobudza nas głównie nieopatrzny artykuł w *Nowostiach*.

Przedewszystkiem nastręcza się pytanie: czy ktokolwiek, nawet najlepiej znający swoje społeczeństwo, może ogarnąć wszystkie albo przynajmniej przeważne jego myśli, uczucia, dążenia i przyjąć na siebie odpowiedzialność wiernego przedstawienia ich przeciętnego wyrazu? Sądzimy, że bez samochwalstwa, bez zuchwałości i lekkomyślności nikt na to się nie odważy, zwłaszcza wtedy, gdy odpowiedź na to pytanie wychodzi z granic sfery teoretycznej. Niewątpliwie są pewne zasady i usposobienia narodu, stanowiące jego istotę, które każdy nieomylnie przypuścić może. Gdyby np. potrzeba było rozstrzygnąć, jakiego języka pragną we wszystkich swych sprawach używać polacy, nikt nie chybiłby prawdy. Inaczej wszakże rzecz się ma z przekonaniami — jeśli tak rzec wolno — bieżącemi, przechodniemi, zależnemi od takiego lub innego skojarzenia się warunków; te nigdy a *priori*, samym domysłem obliczyć się nie dają. Niepewność ta istnieje wszędzie, tem większą zaś ona jest u nas, gdzie społeczeństwo od tak dawna prawie wcale nie wypowiada swych zasad i pragnień w kwestyach politycznych. Bo i skądże mają się one objawić? Z prasy, która (biorąc okres zupełnej ciszy) po dwudziestu latach oniemienia prawie od wczoraj dopiero zaczęła szeptać lub półsłówkami przebąkiwać o rozmaitych rojeniach? Czy może z balów w resursach, ze zgromadzeń bankowych i zjazdów obywatelskich? Zamiast ryzykownych odezw „w imieniu narodu," raczej powinniśmy wyznać, że każdy własnej duszy nie oświetlił należycie. Gdybyśmy zastanowiwszy się nad sobą dokładnie, przemówili wszyscy i rozdzielili nasze głosy według ich powinowactwa na odrębne grupy, może wynik tego balotowania zawiódłby wszystkie dotychczasowe hypotezy; może znaleźlibyśmy najwięcej wyznawców takiego programu politycznego, którego dziś nikt nie odważyłby się ogłosić „w imieniu narodu," a nawet swem własnem. Podobno nikt lepiej nie odczuwa tej niepewności panującego prądu, jak organa, badające go specyalnie i ustawicznie, jak pisma. Ileż razy w nich zalęże się tajemnie jakaś myśl, której nie wypuszczą na świat z obawy przed... czytelnikami, stanowiącymi przecie najbliżej znajome koło każdej redakcyi! Cóż to dopiero mówić o „głosie powszechnym," który mniemani przedstawiciele ogółu wydobywają ze swych osobistych dudek!

Chęć wcielenia w siebie całego społeczeństwa, czucia i myślenia za miliony może być manią niewinną, jeżeli jest wzbitem w obłoki majaczeniem i nie gospodarzy w interesach ziemskich. Jeżeli osobnik, przemawiający „w imieniu narodu," powinienby zbadać, co ów naród przybliżenie myśli, to znowu przemawiający w sprawie praktycznej nie powinien pomijać względów, umożebniających pożądane jej rozwiązanie. Przypuśćmy, że dwu ludzi poważnionych, wrogich sobie żyje w jednym domu i że przyjaciele stron obu pragną ich pogodzić na drodze wzajemnych ustępstw i poszanowauia praw słusznych. Jakżebyśmy nazwali takiego rozjemcę, któryby w obronie słabszego rzekł silniejszemu: „nie wierz jego przyjaciołom, oszukują cię, gdyż on czatuje tylko, ażeby cię mógł wygnać." Zaiste, rola niezbyt wzniosła. Można własnem swojem życiem rozporządzać dowolnie, ale cudzem trzeba ostrożnie.

Zaznaczając, że powód do tych uwag dał nam artykuł, wykładający w *Nowostiach* „zapatrywanie *całego* narodu" polskiego i uwiadamiający Rosyę, o czem „polacy marzą," nie myślimy wyciągać nitek z tej pajęczej przędzy i próbować ich siły. Zarówno bowiem legenda o „krużku spasowiczej," jak i o jego apostole p. E. Pilcu, jak wreszcie o wylewającym się zeń „całym *potoku* (!) broszur, artykułów dziennikarskich i dużych dzieł (!)" — jest poprostu rozśmieszającą banialuką, którą w szpaltach mniej nam przychylnego pisma uznalibyśmy za niezdarny a złośliwy figiel. Ażeby jednak dać próbkę wierności tłomaczów usposobienia ogólnego, zrobimy tu małe zestawienie. Autor ostatniej w tym kierunku pokusy, niewątpiący ani na chwilę, że w zwierciadle jego głowy odbija się „pogląd całego narodu," pisze: „Nie, rzeczy-

wiście polacy marzą o tem, o czem marzyli na początku wieku obecnego, w roku trzydziestym, czterdziestym i sześćdziesiątym" — t. j. o zupełnej niezależności. Zdawałoby się, że jest to bardzo wierny wykład przekonań „całego narodu." Jeżeli kogo ogół nasz najchętniej uznaje za swego przedstawiciela, to niezawodnie J. I. Kraszewskiego. Posłuchajmy więc, co on mówi w swym *Programie Polski*: „Dziś opinia ogółu skłania się do uznania tej *prawdy zasadniczej*, iż starać się należy o nowy organizm krzepki, o byt polityczny, *a troskę o polityczną egzystencyę zostawić Deo ignoto*." I tu i tam słyszymy głos w „imieniu narodu," gdy jednakże, według p. L. S., ów naród marzy ciągle o niezawisłości politycznej, według Kraszewskiego troskę o ten byt pozostawił *Deo ignoto*. Komu wierzyć? Bierze nas chęć „w imieniu narodu" zaufać Kraszewskiemu.

Był bogacz, który przegrał cały majątek; zbiedniawszy, zamiast odegrywać się zaczął pracować w nadziei, że znowu dorobi się, jeśli nie takiego, to w każdym razie poważnego mienia. W tej przypowieści zamyka się cała treść owej ..prawdy zasadniczej," do której, według Kraszewskiego, skłania się opinia ogółu. Niepotrzebnie S. L. podskakuje na pomoc pp. Katkowowi i Suworinowi w zdarciu maski z polaków, bo jeżeli — jak mawiał Napoleon— kiep żołnierz, który nie nosi w tornistrze marszałkowskiej laski, to niezawodnie kiep naród, który w swem najskromniejszem położeniu nie marzy o wielkości. Idzie tylko o to, czy ów żołnierz chce gwałtem, czy zasługą zdobyć marszałkowską buławę, czy ów naród pracuje na bogactwo, czy się hazardownie odegrywa. Czem by polacy być pragnęli, niezależnie od warunków rzeczywistych, to nie jest wyrazem ich pragnień w obecnej chwili; chociażby nawet marzyli o zagarnięciu globu, pomimo to, albo nawet właśnie dla tego mogą dziś „troskę o polityczną egzystencyę zostawić *Deo ignoto*." Chybiona więc jest denuncyacya p. A. L. jeżeli chciał z *Kijewlaninem. Mosk. Wiedomostiami* i całą ich orkiestrą zagrać na nutę „Caveant consules;" jeżeli zaś artykuł jego ma być Marsylianką polskiego *Intransigeant'u*, to doprawdy nie mógł autor uderzyć w swój bębenek, bardziej nie w porę... „w imieniu narodu." Nierostropny polityk jest często szkodnym kotem, który uganiając się za myszami przewraca i tłucze szkła kosztowne. Gdyby przynajmniej nasze koty łapały swoje myszy za granicą, nie zaś tam, gdzie najwięcej szkła stoi!...

POCZUCIE BARW

w świetle teoryi rozwoju.

II.

Hypoteza ta, w szczegółach swych z pewną subtelnością wykończona a w całej konstrukcyi śmiała, wywołała żywe zajęcie w świecie naukowym i prędko licznych znalazła zwolenników; a chociaż i zastęp przeciwników jej nie był nieliczny, z tem wszystkiem pierwszy poważny rozbiór, który wstrząsnął jej podstawami, ukazał się dopiero dwa lata temu niespełna i, rzecz godna uwagi, rozbiór ten wyszedł z pod pióra jednego z najdzielniejszych bojowników ewolucyonizmu, ucznia Spencera — Grant'a Allen'a, który w dziele p. t. *The colour sense, its origin and developpement* bardzo obszernie nad nią się rozwiódł. W niedługim odstępie czasu i zupełnie niezależnie od dzieła Allena wydał w Wiedniu prof. dr. Antoni Marty dziełko p. t. *Die Frage nach der geschichtlichen Entwickelung des Farbensinns*, poświęcone wyłącznie krytyce hypotezy nabycia i wydoskonalenia zmysłu chromatycznego w dobie historycznej. Profesor Marty w wielu punktach zeszedł się z Allenem; ale wogóle przewyższył go pod względem gruntowności, bystrości i systematyczności analizy, i on to zadał ostateczny cios teoryi Geigera i Magnusa, tak że dziś teoryę tę można uważać za przebrzmiały już szowinistyczny objaw w zakresie systematu Darwina. Zarówno Allen jak i Marty dowiedli niezbicie, że teorya ta zarówno pod względem faktycznym jak pod względem rozumowania jest błędna, a to na zasadzie poniższych argumentów:

Przedewszystkim zauważyć należy, że hypoteza Magnusa etc. opiera się ostatecznie na błędnej premissie, a mianowicie na mniemaniu, jakoby braki leksykalne pewnego narodu lub pewnej grupy narodów były świadectwem takich samych braków w ich percepcyi wrażeń zmysłowych. W gruncie rzeczy bowiem szkieletem rozumowania Magnusa jest taki syllogizm: „każda percepcya wrażenia zmysłowego a więc i koloru ma w języku odpowiedni dla siebie wyraz; ludy starożytne nie mają wyrazów dla niektórych kolorów; a więc niektórych kolorów nie dostrzegały." Z tego widoczna, że zwolennicy hypotezy transformacyi zmysłu chromatycznego w dobie historycznej przyjmują dowolnie ścisłą odpowiedniość trzech szeregów faktów psychologicznych, która bynajmniej miejsca nie ma. Szeregi te są: 1) percepcya wrażeń zmysłowych, 2) uchwycenie myślą różnic w pewnej grupie tych wrażeń zapomocą połączenia identycznych lub podobnych w pewne stałe wyobrażenia i 3) wyrażenie tych różnic w mowie. Trzy te szeregi ani nie powstają współcześnie, ani też w rozwoju ich nie ma ścisłego parallelizmu. Możemy bardzo dobrze otrzymywać pewne wrażenia zmysłowe, różne między sobą, możemy wyraźnie odczuwać zachodzące między niemi różnice a nie być w stanie uznać otrzymane w danej chwili wrażenie za identyczne z takiemże samem wrażeniem, otrzymanem dawniej. Innemi słowy, najdoskonalej rozwinięty przyrząd zmysłowy, przejmujący najsubtelniejsze odcienia wrażeń świata zewnętrznego, nie idzie bynaj-

---

DZIKI TOMEK.

VI.

Jędras o tem wszystkiem nie wiedział nic, a choćby i wiedział, cóż go to obchodziło, on przecież chciał tylko kieliszka wódki, kromki chleba i sera, i wszedł tutaj, bo karczma wydawała mu się równie biedną, jak on sam.

Wszedł więc, schylając się; drzwi nie były wymierzone na jego wysoką postać, i wyrzekł tradycyonalne.

— Niech będzie Chrystus pochwalony.

Czekał chwilę, zanim karczmarka, która siedziała na ławie u komina i zmierzyła go nieufnem spojrzeniem, odmruknęła z niechęcią.

— Na wieki wieków.

Widocznie gość ten przychodził nie w porę.

Ale on nie przywykły był wcale chwytać i badać odcieni uczuć ludzkich; usiadł na ławie przy drzwiach i zażądał wódki.

— Niema — oparła opryskliwie kobieta.

Jędras zdziwił się i miał ochotę spytać, coby znaczyła karczma bez wódki, ale ona namyśliwszy się widocznie, dodała, że mąż właśnie po nią pojechał, tylko że pewno nie prędko powróci—pojechał niedawno i daleko.

Jędras prosił o jaki posiłek, chociażby czerstwą bułkę, przecież i tej nie miała karczmarka; radziła mu, by szedł dalej do austeryi w Sękocinie. A mówiąc to, wi docznie nasłuchiwała, jakby oczekiwała kogoś.

Jędras zrozumiał, że niema tu co robić; przecież nie chciało mu się iść dalej; przyjemne ciepło panujące w izbie ogarnęło jego skrzepłe członki, zbierał się więc leniwo, gdy kroki jakieś rozległy się w sieni i do izby wbiegł gość nowy.

Był on otulony kożuchem i czapkę miał nasuniętą na oczy, tak że rysów jego rozpoznać było trudno. Czapki tej nie zdjął, tylko patrzał przez chwilę na podróżnego, którego nie spodziewał się tu zastać, z wielką niechęcią.

Szepnął coś karczmarce, ona wzruszyła ramionami. Widocznie panowało pomiędzy nimi porozumienie jakieś, jakaś zmowa, której na przeszkodzie stał Jędras. Naradzali się zapewnie, jak go się pozbyć, kiedy nagle płomień na kominie buchnął w górę i oświecił w pełni twarz jego.

Wówczas nowo przybyły roześmiał się, zrzucił czapkę, przystąpił, uderzając go po ramieniu wyrzekł.

— Jak się macie Jędrasie.

Jędras aż poskoczył na ławie: słysząc wymówione swoje imię, spojrzał także uważnie na człowieka, który do niego w ten sposób przemawiał, i poznał jednego z towarzyszów celi więziennej, który nosił przezwisko Czarnego Grzeli i który uczył go, by tylko do niczego się nie przyznawał a pewno wolnym będzie.

— A tośma się zeszli — zawołał nowo przybyły.

Na rękę mu widać było to spotkanie; kazał podać wódki. Natychmiast znalazła się wódka, a nawet gospodarz wyszedł z alkierza, gdzie widocznie był ukryty.

Znalazł się i posiłek. Gospodyni smarzyła jajecznicę z kiełbasą, a koło północka Czarny Grzela z Jędrasem, jak dobrzy towarzysze, poszli w las.

Nazajutrz rozeszła się wieść, że skradziono walizę podróżnym, przejeżdżającym laskiem sękocińskim, i że dwaj ludzie napadli na starozakonnego kupca, który tylko przytomności umysłu woźnicy i dobrym koniom winien był ocalenie.

Jędras do Maliniec nie powrócił. Nie miał tam nikogo swojego, nie tęsknił do ludzi, ni do miejsca, za chałupę starczył mu kąt każdy, a lasy otwierały mu swoje głębie. Z towarzyszami szło mu dobrze. Czarny Grzela był głową i potrzebował właśnie takiej dużej, silnej ręki, jak jego. Więc zostali razem.

Młody adwokat, wśród nawału spraw, zapomniał szybko o swoim pierwszym kliencie, lub jeśli pomyślał kiedy o nim, to

mniej w parze z dokładnością i subtelnością myślowej oceny tych wrażeń. Tę ostatnią zdobywamy zwolna, zapomocą przyzwyczajenia i nieustannej uwagi, podniecanej interesem, jaki dla tych lub owych wrażeń posiadamy. Na tej drodze odbywa się to, co nazywamy kształceniem zmysłów, któremu bez wątpienia przyrodzona subtelność ich fizycznej budowy wielce jest pomocna, ale które bynajmniej nie polega na doskonaleniu tej ich budowy i fizyologicznych ich funkcyj, lecz na wyćwiczeniu naszego sądu odnośnie do otrzymywanych wrażeń. Jeśli wykształcony specyalnie muzyk umie oznaczyć każdy usłyszany ton, jeśli z pośród wielu współcześnie rozbrzmiewających instrumentów muzycznych może dokładnie udział każdego rozpoznać, jeśli jest w stanie dosłyszeć subtelne figury oddzielnych instrumentów podczas wykonywania skomplikowanych polifonicznych utworów, to nie dla tego, że budowa jego organu słuchu jest doskonalsza od budowy tegoż organu ludzi muzykalnie niewykształconych, lecz dla tego, że wskutek długiego doświadczenia, wskutek ciągłej obserwacyi tonów i wreszcie wskutek interesu, jaki dla nich posiada, każdy zasłyszany ton budzi w umyśle jego niezliczone mnóstwo innych identycznych lub też jemu podobnych i pokrewnych, które się w pewne określone słuchowe wyobrażenia skrystalizowały, a przez to dostarczyły mu stałego kryteryum dla oceny znaczenia każdego tonu w szeregu innych i dla zamieszczenia go pod odpowiednią kategoryą.

Z tymi dwoma ściśle z sobą połączonymi chociaż, jak widzieliśmy, odrębnymi procesami psychicznymi, wiąże się mowa. Rozwój i doskonalenie się jej, jako zjawiska, wybiegającego ze sfery *indywidualno psychicznej* w zakres życia *społecznego*, zależy od tylu najróżnorodniejszych warunków, już to pomyślnych, już to niepomyślnych, że stanu języka w pewnej epoce życia narodowego nie można uważać za dokładną miarę zapasu wyobrażeń tejże epoki, a tem mniej za proste i wierne odbicie sposobu odczuwania wrażeń zmysłowych. Może więc pomiędzy percepcyą wrażeń a uzewnętrznieniem ich zapomocą mowy zachodzić taki odskok, że naród pewien w danej epoce mógłby obok bardzo subtelnego odczuwania np. dźwięków nie wyrobić sobie wcale terminologii dla oddzielnych tonów, składających gamę. Przypuszczenie to bynajmniej nie jest bez podstawy. Starożytni grecy dostarczają nam pouczającego przykładu, że z bardzo wysoko posuniętą percepcyą pewnego szeregu wrażeń zmysłowych może iść w parze nieproporcyonalne ubóstwo odpowiedniego zapasu wyrażeń. I tak wiadomo, że grecy nie posiadali, jak my, stałych nazw dla tonów, lecz że nazwy te oznaczały u nich tylko względne położenie tonów i pozostawały te same nawet bez względu na zmianę interwallów; temi samemi więc nazwami oznaczali oni tony, następujące po sobie w czterogłosowym akordzie zarówno gamy diatonicznej jak i enharmonicznej. Analogicznego przykładu dostarczają nam birmani, którzy wyroby swe malują niebiesko i zielono, chociaż, według Bastiana, nie mają nazwy dla zielonego. Zresztą niema potrzeby dla stwierdzenia tej prawdy uciekać się ani do hypotez, ani też do tak odległych przykładów. Wszak i obecne języki narodów ucywilizowanych wykazują takie same ubóstwo terminologii względnie do subtelności w przejmowaniu delikatnych odcieni smaku i zapachu. „Słodki, gorzki, kwaśny, słony“ — oto prawie całe bogactwo wyrazów dla oznaczenia niezmierzonej gamy smaku. Jeszcze uboższą jest terminologia zapachów. W gruncie rzeczy posiadamy w tym względzie tylko dwa bardzo nieokreślone terminy: „przyjemny i nieprzyjemny;“ pozostałe zaś nazwy nie są abstrakcyjnymi terminami dla tego lub owego zapachu, jako *wrażenia samoistnego*, lecz oznaczają właściwość pewnego *przedmiotu*.

Nietylko ogólna metoda, której się trzymał Magnus i jego poprzednicy — wyciąganie wniosków o sposobie percepcyi wrażeń ze sposobu wyrażania ich w mowie — jest błędna, ale także i szczegóły ich argumentacyi nie wytrzymują krytyki.

I tak na pierwszem miejscu zastanowić nas musi, że w poezyach Homera, mimo przypisywanego im braku terminologii kolorów, znajdujemy pewne nawet bogactwo wyrazów na oznaczenie właściwości chromatycznych. Mamy bowiem u niego oddzielne terminy nietylko dla każdego zasadniczego koloru naszego widma, ale, co więcej, po kilka terminów dla jednego i tego samego koloru. A więc Homer ma dla czerwonego dwa główne terminy: ἐρυθρός i φοίνιος a oprócz tego jeszcze dla jego odcieni: πορφύρεος i ῥοδόεις; dla żółtego: ξανθός i χρύσεος; dla niebieskiego wraz z odcieniami: ὑακίνθινος, ἰόεις, ἰοειδής, ἰοδνεφής; wreszcie dla zielonego: χλωρός. Jeśli jednak mimo tak wysoko rozwiniętej terminologii kolorów, w użyciu oddzielnych terminów spotykamy chwiejność i brak ścisłości, to okoliczność ta nie może świadczyć o niedokładności zmysłu chromatycznego starożytnych greków. Wynikła ona bowiem z braku zarówno racyonalnej klasyfikacyi kolorów jak i potrzeb naukowych i dydaktycznych. A przecież i dziś jeszcze ani klasyfikacya barw nie doszła do takiego stopnia doskonałości i rozpowszechnienia, ani potrzeby naukowe i dydaktyczne nie wzniosły się tak wysoko, żeby nasza terminologia kolorów pod względem ścisłości była wolna od zarzutów. Toć i dziś jeszcze mówimy np. wino „czerwone,“ wino „białe“ a włosi wino *nero;* i dziś nazywamy zarówno kwiat geranium jak i wypaloną cegłą czerwonemi; gdyż, chociaż wiemy dobrze, że wyrażenia te nie odpowiadają zmysłowej percepcyi, potrzeby chwili nie wymagają od nas większej ścisłości w mowie.

Zwrócić też wypada uwagę i na to, że u Homera mamy do czynienia nie z mową prozaiczną, lecz poetycką. Homer nie ma na celu oświecić, pouczyć swego czytelnika, lecz go zająć i zabawić. Stąd niejedno wy-

---

wracał mu do pamięci dzień tryumfu, dzień, w którym zdobył sobie rękę kochanej.

Nadszedł oczekiwany maj, zbliżał się dzień ślubu, w wigilię jego dopiero adwokat, którego tysiące przygotowań i interesów zatrzymywało w Warszawie, jechał do rodziców narzeczonej.

Wieś ich odległą była od Warszawy, konie czekały go na stacyi kolei, stamtąd miał jeszcze parę godzin drogi przed sobą. Wyjeżdżał ze stacyi przy ostatnich promieniach słońca; wieczór zapowiadał się burzliwy. Z po nad lasu, który przerzynał drogę, podnosiła się zwolna czarna chmura, rozciągała szeroko ramiona, a co chwila przebiegały ją ogniste drżenia lub złotem haftowały pioruny.

Młody człowiek patrzał na to rozmarzony, jak bywa się rozmarzonym w słonecznej chwili miłości, szczęścia, powodzenia, kiedy życie uśmiecha się wszystkimi czarami swojemi.

W naturze całej panowała cisza, jak zwykle przed zerwaniem się burzy. Chmura zajmowała coraz większą przestrzeń nieba, zebrała w siebie wszystkie blaski zachodu i oblana bursztynowem światłem, posuwała się naprzód, niesiona wichrami, które nie dobiegały ziemi; ogromna, ciężka, złowroga, gasiła resztki dnia, i spuszczała się tak nisko, iż zdawała się ciążyć na piersiach.

Powietrze stawało się duszne i parne, a złote łany rzepaku przy drodze i czeremchy leśne wydawały odurzające wonie.

Woźnica raz w raz patrzał na groźne niebo, na las, do którego zbliżali się szybkim kłusem, i oglądał się na adwokata, jakby chciał coś powiedzieć, zrobić uwagę i czekał jakiego zachęcającego słowa. Ale on nie zważał na ten ruch wymowny, nie zważał na gotującą się burzę. Nie mógł wyjechać, jak to zwykle czynił, wcześniejszym pociągiem z Warszawy i myślał, że gdyby nie to, byłby już w tej chwili przy narzeczonej i patrzał w jej siwe oczy, że zapewne wyglądano go, oczekiwano z herbatą i byłby chciał przyśpieszyć bieg koni, które posłuszne woli jego, biczowi woźnicy, czy też przeczuwając burzę, rwały z kopyta.

Jakże ten świat cały tchnący wiosennemi woniami wydawał mu się piękny, drgało w nim każdem tętnem rozkipiałe życie i nęciło wszystkimi powabami.

Był młody, był w pełni sił i rozwoju, dobił się wczesnej sławy, kochający, kochany, wszystko mu się wiodło, wszystko uśmiechało bogatą przyszłością.

Gdyby mu kto był w tej chwili wspomniał o śmierci, byłby roześmiał się i zapytał:

— Alboż to się umiera?

Wjeżdżali właśnie do lasu, kiedy rozległ się daleki huk grzmotu i konary drzew zaszumiały gwałtownie, poruszone nagłym wichrem.

Woźnica obrócił się na koźle.

— Wartoby zanocować — rzekł wskazując boczną drogę, wiodącą do blizkiej wioski pod lasem.

— Zanocować! oszalałeś — zawołał adwokat, którego ogniste gromy nie zatrzymałyby w tej chwili.

— Będzie burza — ciągnął dalej niezrażony woźnica.

— Zmokniemy—odparł filozoficznie młody człowiek, zapalając cygaro.

— Ej to nic—mruknął jeszcze woźnica.

— A więc jedź, jedź — wołał niecierpliwie podróżny.

— Ale on się nie śpieszył z wykonaniem rozkazu, a przeciwnie ściągnął konie, pochylił się ku młodemu człowiekowi i dodał prawie szeptem:

— W lesie ponoś rozbijają. Trzeba było tamtym pociągiem przyjechać.

Adwokat roześmiał się głośno z całą pogardą mieszkańca miasta dla podobnego niebezpieczeństwa.

— Nie lękaj się, nas nie rozbiją — odparł żartobliwie, tylko jedź, jedź prędko.

Rozkaz był stanowczy, woźnica nie odpowiedział, poruszył bicz, cmoknął na konie i lekki wózek wtoczył się pod leśne sklepienie.

(Dokończenie nastąpi).

Walerya Marrené.

rażenie ściśle i prawdziwe musiało ustąpić miejsca innemu, mniej ścisłemu i mniej prawdziwemu, ale zato dosadniejszemu i bardziej wyobraźnię uderzającemu. Te to właśnie wymagania mowy poetyckiej tłomaczą nam wiele właściwości homerowych wyrażeń. Jeśli Homer nie nazywa np. nieba niebieskiem, to dlatego, że kolor ten był dla niego taką nieodłączną właściwością nieba, że epitet ten zgoła niczy nie wyrażał i żadnego nowego nie budził wyobrażenia. Dlatego też stosuje Homer do nieba takie przymiotniki, jak „wielkie,“ „szerokie,“ które nam wprawdzie wydają się nie nie znaczącemi, ale które w starożytnych grekach musiały budzić wyobrażenia i uczucia religijne, ściśle połączone z wyrazem, oznaczającym siedlisko bogów. Podobnież nie nazywał Homer pola „zielonem;“ gdyż zjawisko to było dla greka ówczesnego, dla owego wojaka, przebywającego całe lata pod gołem niebem, zbyt codziennem i zwykłem. Wyobraźnię jego uderzały raczej rzadkie jeszcze wówczas przedmioty sztuki, broń, oznaki najwyższej władzy, upiększane złotem i purpurą, a stąd też i kolory tej kategoryi mają dla niego znaczenie. Przeciwnie, reszta kolorów miała dla niego znaczenie podrzędne, nie charakteryzowała wcale przedmiotów, wskutek czego wystarczało mu nazywać je słowem κυάνεος (ciemny). Na tę predylekcyę Homera dla kolorów jasnych przed ciemnemi wpływała bez wątpienia i różna ich wartość pod względem estetycznym. Grant Allen wykazał przyczyny, dla których kolory, przytykające do promieni cieplikowych a więc czerwony i żółty, budzą w nas większe upodobanie, niż kolory przeciwległego końca widma słonecznego. Wniosek ten potwierdził on obliczeniami statystycznemi, z których okazuje się, że nowocześni poeci pięć razy częściej wzmiankują kolory czerwone i żółte, niż zielone i niebieskie; że więc pierwsze są pięć razy poetyczniejsze, niż ostatnie. Ta zatem przewaga koloru czerwonego i żółtego nad zielonym i niebieskim, jaką spotykamy u Homera, nie jest skutkiem niedostatków percepcyi wzroku, lecz pewną właściwością mowy poetyckiej.

W końcu chwiejność w oznaczeniu kolorów nie tylko nie jest dowodem nizkiego stopnia rozwoju zmysłu chromatycznego u Homera, lecz, jak to zauważył już Goethe, daje ona raczej świadectwo bardzo subtelnego poczucia tej nieokreślonej natury kolorów, tego powolnego ich stopniowania i braku wybitnych między nimi granic, wskutek czego w świecie rzeczywistym wszystkie przedmioty są zabarwione niejasno i niewyraźnie, tak iż czystych kolorów doświadczenie zmysłowe zgoła nam nie dostarcza.

(Dokończenie nastąpi).

Henryk Goldberg.

SPRAWA KOBIET

(E. Legouvé).

II.

„Kto mówi o poprawieniu losu dziewczyn, ma za sobą wszystkich ojców; lecz kto proponuje powiększenie praw kobiet, ma przeciwko sobie wszystkich mężów.“ To już nie jeden z dowcipów, w jakie praca Legouvé'go obfituje na każdej stronicy, ale istotnie dosadna charakterystyka obyczajów obecnego społeczeństwa. Szkoda tylko, że autor nie schodzi do głębi kwestyi i zadawalniając się myślą pozornego, powierzchownego postępu, przemyka się po nad rafami zagadek, zamiast je rozbijać choćby z narażeniem się na niebezpieczeństwo, byle usunąć przeszkody, byle utorować drogę dla dalszej żeglugi po tym oceanie społecznych umów. Właściwie mówiąc, reformy, jakich Legouvé żąda, ani są tak wielkie, ani tak straszne, jakby się to ludziom tchórzliwego serca na pozór zdawać mogło.

Naprzód zatem reforma małżeńskiego kodeksu.

Władza męża jest dwojakiego rodzaju: władza nad osobą i władza nad majątkiem żony. Pierwszą zniosły obyczaje. Nikt dziś nie posługuje się średniowiecznem prawem, które mówi, że *mąż jest mocen bić żonę, byle umiarkowanie*, i jakkolwiek chłop praktykuje to prawo, usuwając nawet z niego przysłówek, żona mu płaci pięknem za nadobne. Pod względem więc prawa dorażnego karania w małżeńskim kodeksie istnieje równość najzupełniejsza.

Pozostaje władza męża nad majątkiem żony.

„Przy wspólności majątkowej mąż sam tylko administruje majątkiem. Może on przytem sprzedawać nieruchomości, będące wspólnym majątkiem małżonków, bez upoważnienia żony. Może również sprzedać a nawet dać tytułem darowizny meble i ruchomości.“

Prawo, co prawda, pozwala żonie żądać separacyi majątkowej w razie złego zawiadywania męża. Lecz żona najczęściej dowiaduje się o swojej ruinie w chwili, kiedy ruina już nastąpiła. A przytem nigdy nie przestaje być uważana za małoletnią. Bez upoważnienia męża nie może ona złożyć najmniejszej choćby kwoty u bankiera, ani otrzymać książeczki czeków, ani kupić obligacyi, ani rozporządzić najdrobniejszą cząstką swego kapitału na rzecz jakiejś przyjaciółki lub starca, który nie ma czasu czekać na jej testament, i co jeszcze gorsza, bez pozwolenia męża już nie tylko dać, lecz przyjąć nawet nie może darowizny od nikogo. Ponieważ mąż jest mocen rozporządzać wszystkimi meblami, należącymi do wspólności majątkowej i to tytułem darowizny, żona zaś nie, Legouvé zatem, oburzony tą krzywdzącą niesprawiedliwością, żąda ograniczenia samowładzy męża i to nie tylko za pośrednictwem trybunału, ale nawet przez zwołanie prostej rady familijnej.

„Władza jest zbawienną pod dwoma warunkami: aby była kontrolowaną i ograniczoną.“ „W rodzinie potrzeba króla (któryby miał władzę kierowania majątkiem), i dopuszcza — mówi Legouvé — aby nim był mąż.“ Naturalnie, autor jako człowiek postępowy żąda, aby mężowi przyznano władzę króla konstytucyjnego, nie zaś absolutnego monarchy. Tak, ale zawsze władza, zawsze król, zawsze opieka nad małoletnią żoną, choćby ona była tysiąc razy wykształceńszą, mędrszą i uczciwszą od swego męża, zawsze tylko złagodzenie krzywdy, ale nie jej usunięcie, zawsze pozostawienie administracyi majątkiem mężowi, choćby nawet z ograniczeniem jego władzy, byle nie zupełna swoboda małżonków przy rozporządzaniu ich dobrem, swoboda, któraby podkopała instytucyę dzisiejszego małżeństwa i, jak pisał kiedyś *Le Temps*, rozwiązałaby trzy czwarte stadeł we Francyi, zawiązanych w celach czysto handlowych a utrzymywanych sztucznie. Legouvé więc także, przy całym swym zapale dla wyrazów: *postęp* i *równość*, nie chce zejść do dna kwestyi i tam, gdzie jest jedno rozwiązanie sprowadzające tysiąc innych, proponuje dwa, niezałatwiające sprawy niesprawiedliwości, ale ją tylko łagodzące, a mianowicie: „oczyszczenie kodeksu z jego tysiąca uciskających szczegółów, które są tyranią i krzywdą“ i „pozwolenie żonie, w razie jeżeli złe zawiadywanie męża naraża fortunę, na odwołanie się nie do sprawiedliwości, lecz do rady familijnej,“ co nie jest bynajmniej swobodą rozporządzania majątkiem, równością i sprawiedliwością.

Lecz Legouvé żąda *równości w różności*, a to jest różnica.

Tak np. w rozdziale, zatytułowanym *Matka*, równość w małżeństwie nie istnieje dla niego tylko przez to, że ojciec potrzebuje dać swe pozwolenie na ożenienie się syna lub zamążpójście córki, wtenczas kiedy prawo ani jednem słowem nie wspomina o istnieniu matki. W imię postępu należałoby, właściwie mówiąc, znieść wogóle prawo, które zmusza syna lub córkę do żądania ojcowskiego pozwolenia na małżeństwo. Legouvé dla wprowadzenia do kodeksu *równości i sprawiedliwości*, żąda nie zniesienia rodzicielskiej władzy, lecz poddania dzieci pod władzę obojga rodziców, zarówno prawem uzbrojonych.

„To zniesławienie macierzyńskiej władzy jest zgubne: w kwestyi małżeństwa zwłaszcza wzrok matki sięga gdzieindziej i dalej, niżeli wzrok ojca. Ojciec niepokoi się o majątek, o przyszłość, o stanowisko swojego zięcia; matka troszczy się więcej o stosunek sympatyi, jaki ma go połączyć z jej córką. Ojciec sądzi go lepiej jako człowieka, matka zaś sądzi go lepiej jako zięcia. Oboje widzą prawdę, ale z profilu; ich dwa punkta widzenia złączone razem tworzą dopiero całość. Oboje więc powinni być wezwani“ do wywierania swej władzy nad dziećmi, jak gdyby władza jednego z rodziców nie była już dostateczną.

Jeszcze poetyczniejszym jest Legouvé w swej przemowie do matek bogatych, które wzywa do niesienia pomocy biednym. Ponieważ autorowi chodzi tu o jałmużnę, o wzruszenie serc, nie zaś o kwestyę *równości* i *sprawiedliwości*, pomińmy więc bez nacisku ten ustęp i przejdźmy wprost do najważniejszego rozdziału, do korony jego pracy — do szczytu żądanych przez autora praw dla kobiety.

„Mężczyzna — mówi Legouvé — nie jest jedynie synem, mężem lub ojcem, ale także pracownikiem i obywatelem. Ma on rodzinę, stan i ojczyznę. Kobiety, w klasach wyższych, mają tylko rodzinę. Zawód publiczny, zawód prywatny, wszystko jest dla nich mniej więcej wzbronionem. Poddane są one prawom, ale ich nie tworzą; płacą

podatki, lecz ich nie głosują; znoszą sprawiedliwość, ale jej nie wymierzają.“

Autor zatem żąda, aby kobiety zostały dopuszczone do wszystkich zawodów, bez względu na fałszywie motywowaną konkurencyę, i to zupełnie słusznie. „Często bowiem jest mowa o konkurencyi, jaką kobiety robią mężczyznom; lecz co powiedzieć o tej, jaką mężczyźni robią kobietom?... Czyż nie widzimy mężczyzn — szwaczek, modniarek i handlarzy bielizną? Wszakże nawet są mężczyźni—gorseciarze!“ Kobiety więc mają prawo do wszystkich zawodów prywatnych i to wbrew nawet obyczajom, które nie pozwalają im zaprzeć się roli, jaką dziś w społeczeństwie grają. „Kobieta - doktór odraża; kobieta - rejent śmieszy; kobieta-adwokat przeraża.“ Tym sposobem, otoczone baryerami, nie mają one ani związku z ojczyzną, ani swobody wyzyskiwania swojej własnej pracy, jakkolwiek „ich rola jako matek rodziny narzuca im stan najczęściej; potrzeba pracować dla wyżywienia dzieci, dla podtrzymania męża. Pragnienie to zostania żoną zmusza je do obrania sobie zawodu; potrzeba zdobyć sobie posag, aby stać się kobietą i matką. Tymczasem administracya jest dla nich zamkniętą, w przemyśle zaś, a nawet i w handlu, który jest ich właściwą dziedziną, mężczyźni wydzierają im tę odrobinę dozwolonego zawodu.“

Lecz tego jeszcze nie dosyć! Przy dzisiejszym stanie obyczajów i przekonań praca poniża godność kobiety. „Nasze prowincye przepełnione są młodemi pannami, należącemi do szlachty lub mieszczańskiego stanu, które zużywają się w nudach, celibacie, niedostatku i rozpaczy, zamiast szukać fortuny i niezależności w handlowej karyerze. Dlaczego?... Dlatego, że cofają się przed klątwą rodziców, przed naganą przyjaciół, a nawet niestety! przed swoją własną dumą. Możemy się bowiem pysznić, tyle ile chcemy, demokracyą i równością, w naszem społeczeństwie istnieje wywoleniec, który nie jest jeszcze zupełnie zrehabilitowany: to jest *praca*. Pracować, aby żyć, nie jest dla kobiety zaszczytem, lecz poniżeniem. Brakuje nam bowiem jeszcze uszanowania dla jednej z najświętszych rzeczy w świecie: uszanowania dla zarobionego chleba.“ I pod tym względem obyczaje są więcej nawet może niesprawiedliwe, niż kodeks, na który autor z taką zaciętością nastaje, jakkolwiek i w pierwszym i w drugim wypadku wszystko jest do zmienienia. Wszystko potrzebuje potężnej siekiery reformatora, z tem jednakże zastrzeżeniem, że wpierw należy się wziąść do uprawy i poprawy obyczajów, niż do kodeksu, który może być tylko sankcyą obyczajów, ich naturalną wypadkową, nie zaś pobudką, — uświęceniem tego, co jest, nie zaś przyczyną tego, co ma być. Legouvé według doskonałego orzeczenia Emila Girardin należy do rzędu tych ludzi, którzy „nieskończenie wiele wymagają od praw, a nieskończenie mało od obyczajów.“ Poprawmy obyczaje, wpłyńmy na zmianę przekonań, przeprowadźmy walkę przeciw ogólnej ciemnocie i przesądom, a prawa znajdą się same, ponieważ kodeks, liberalny czy wsteczny, jest tylko wyrazem obyczajów. Jeżeli obyczaje są zacofane, kodeks nie może być postępowy i naodwrót. Wprzód zatem należy odezwać się do nauczycieli, a potem do prawodawców, wprzód zreformować szkołę a potem kodeks, i to wprost przeciwnie, niż chce Legouvé, który „sprawę wykształcenia uważa za prawie już załatwioną,“ ponieważ „senat zagłosował prawo drugorzędnego nauczania młodych dziewczyn (l'enseignement secondaire).“

„Przychodzimy nareszcie — mówi autor — do ostatniej części naszego studyum. Czy kobiety powinny grać rolę w państwie? czy powinny spełniać funkcye publiczne i funkcye polityczne? Czy kobiety powinny głosować?... Ze względu tylko na zasady, jest to rzeczą niedającą się zaprzeczyć.“ Nic słuszniejszego. Przypuściwszy bowiem, że wszystkie swobody, jakich Legouvé i wszyscy ludzie postępowi żądają dla kobiet, zostały im zapewnione bądź to przez obyczaje, bądź też przez prawo, co na jedno wychodzi, możność głosowania, zajmowania publicznych urzędów a tem samem i wybieralności musi im być dozwoloną bez najmniejszych zastrzeżeń, i na poparcie tego twierdzenia nie potrzebujemy nic więcej jak przytoczyć tu dosłownie argumentacyę Legouvé'go, która jest bez zarzutu:

„Co mówi prawo wyborcze?... Każda jednostka, zrodzona we Francyi lub mająca tytuł francuza, pełnoletnia, zdrowa na umyśle i wolna od wszelkiej kary hańbiącej, będzie z prawa wyborcą. Czy są kobiety pełnoletnie, zdrowe na umyśle i wolne od kar hańbiących? Tak! Więc wszystkie te kobiety mają prawo głosowania; zarzut bowiem wyciągnięty z ich poddaństwa względem mężów nie ma żadnej wartości, gdyż przedewszystkiem wiele jest takich, które nie są poddane zupełnie, następnie ponieważ nasi służący, którzy są więcej od nas zależnymi niż one, głosują; nareszcie zaś, ponieważ wszystkie kobiety, które nie są zamężne, lub już niemi nie są, wymykają się z pod tej reguły.

Powiedzmy więc otwarcie: głosowanie powszechne nie będzie nigdy powszechnem, jeżeli połowa obywateli będzie od niego usunięta; nie mogę przytem powstrzymać się od przypomnienia sobie i przypomnienia tu pięknych słów jednej z bohaterek rewolucyi:

„Kobiety mają prawo wstępowania na trybunę, ponieważ mają prawo wstępowania na szafot!“

Antoni Sygietyński.

LEOPOLITANA.

V.

Umysły nasze ochłonęły już po części z zaniepokojenia, w jakie je wprawił był groźniejszy chwilowo rozbłysk owego słomianego pożaru, który się u nas całkiem zresztą niewłaściwie „sprawą ruską“ nazywa. Wynik pomyślny wyborów z kuryi włościańskiej lwowskiego i koszowskiego okręgu, gdzie pomimo wysiłków i podstępnych knowań agitatorów *Ruskiej Rady* zwyciężyli bez trudu polacy, wykazał dowodnie, że podszepty *narodolubnej* reżyseryi nie znalazły jeszcze stałego gruntu w umysłach naszego wiejskiego ludu.

Zapanowało też po tych doświadczeniach w kołach ruskich *prowodyrów* pewne zniechęcenie, które, odbijając szorstko od niedawnych bractwa tego przechwałek, wyraz swój znalazło w nader ciekawym artykule tutejszego *Diła*, omawiającym porażkę kandydatów *Ruskiej Rady* w lwowskim i koszowskim okręgu [1]). Zastanawiając się nad powodami doznanej klęski, dochodzi szacowny organ ten do słusznego wniosku, że ruskiemu ludowi wiejskiemu zupełnie obce są polityczne mrzonki i lingwistyczne swary jego samozwańczych przywódców. Po tem naiwnem wyznaniu zaleca *Diło* narodolubnemu bractwu, aby chcąc lud pozyskać dla siebie i swoich widoków, „porzuciło drogę transcedentalnej polityki, dla której lud ten żadnego nie ma zrozumienia, a przeniosło działalność swoją na pole praktycznej roboty.“ Znaczenia tej delfickiej wyroczni, której właściwych autorów możeby aż w Londynie i Genewie szukać trzeba, nie odgadł dotychczas Edyp żaden, i trudno jest dziś powiedzieć, jaka się po za tym parawanem przeciwko naszemu społeczeństwu ukrywa pogróżka. Cokolwiekbądź ciekawem jest to *autos efe* naczelnego dziś ruskiego organu, stwierdzającego, że lud ruski dla transcedentalnych mrzonek, swarów i żalów swych samozwańczych przywódców, żadnego nie ma zrozumienia, i że tak zwana „sprawa ruska,“ chcąc dalej jeszcze pokutować jako smok siarczysty, koniecznie się na społecznej kuli opierać musi. Wynika stąd, że po za *narodolubną* reżyseryą nie stoi nikt,— że panowie ci nieistniejącej adwokatują sprawie, że garstka ta zwaryowanych pcheł w próżnem tańczących pudełku ma dotychczas w ręku swojem tylko dziurę, którą trzebaby dopiero okręcić mosiądzem, aby z niej zrobić armatę, — i że wreszcie legendowa „sprawa ruska,“ skoro bez społecznego piżma przy życiu utrzymaną być nie może, jako sprawa polityczna najmniejszego do bytu nie ma uprawnienia. A więc *erudimini!* Zaiste że się *Diłu* słuszna wdzięczność należy za tę cenną wskazówkę!

Poprzestając na zaznaczeniu tego ciekawego wyznania, odkładam to, cobym o tej legendzie miał jeszcze do powiedzenia na czas późniejszy, mianowicie do tej, jak sądzę, nie zbyt dalekiej chwili, gdy ślimak ten znowu swe polityczne różki wystawi; — spieszno mi bowiem chociażby kilkoma słowami tylko dać wyraz owemu uczuciu grozy, jakie w umysłach ogółu naszego wywołał potworny zamach wykonany nad Newą. Polityczne dzienniki nasze wszelkiego odcienia nie omieszkały potępić tego morderstwa. To też jak cegła z dachu spadły na nas oszczercze posądzenia berlińskiego i moskiewskiego organów, pomawiające polaków o duchowe powinowactwo z twórcami petersburskiego zamachu. Oszczerstwom tym, których pobudki aż nadto widoczne są, aby się niemi zajmować w sposób poważny, daliście już w piśmie waszem należytą odprawę; — wspominam też o nich tylko dla tego, że

[1]) Z powodu poprzednich uwag naszego korespondenta o rusinach galicyjskich odebraliśmy kilka listów polemicznych, które mu zakomunikowaliśmy i na które on wkrótce odpowie. (*Red.*)

i tutejsze *Słowo — noscite ex ungue... leonem!* — nie omieszkało powtórzyć tych bredni, udając, że do nich wiarę przykłada. A więc: *et tu brutissime!* Jeżeli ten koci paciorek, z taką lubością powtórzony za panią matką, ma być początkiem onej „praktycznej roboty,“ do której rycerzy *miachkiego* i *twiordego znaku* nawoływa *Diło*, w takim razie nie przynosi zmiana programu nic nowego. Bractwo świętojurskiej Siczy było zawsze tylko polityczną dziurą w moście; — nic więc dziwnego, że i dziś z podobnemi sobie dziurami w moście dojednego staje szeregu.

Centralistyczne wiedeńskie dzienniki, a za niemi znaczna część wrogiej nam europejskiej prasy, puściły w świat bajeczkę, jakoby Izba niższa wiedeńskiej Rady Państwa, zamierzając dać wyraz swemu oburzeniu z powodu petersburskiego zamachu, zaniechała była tego zamiaru, skutkiem wrzekomego ucisku naszego poselstwa, pragnącego jakoby przeszkodzić podobnej manifestacyi. Plotka ta puszczona w obieg w tym zamiarze, aby wobec stanowiska, jakie w tej sprawie zajęły wszystkie niemal europejskie parlamenty, skompromitować polaków i rzucić na ogół nasz cień pewnego kanibalizmu, nieleżącego wcale w naszym charakterze, może w błąd wprowadzić tych jedynie, którzy nie znają austryackiego parlamentarnego ustroju i nie wiedzą, że przedlitawska Izba niższa nie jest uprawnioną do podobnego aktu. Rzeczywistym bowiem austro-węgierskim parlamentem, w powszechnem słowa tego znaczeniu, są nie obradujące w tej chwili wspólne delegacye, którym jedynie przysługuje prawo zabierania głosu w sprawie tego rodzaju. Takiem jest zapatrywanie rządu, — takiem było po wszystkie czasy zapatrywanie polaków, przy którem poselstwo nasze, broniąc praw krajowych, nieodzownie trwać musi. Ażeby wam to wyjaśnić, zniewolony jestem przypomnieć na tem miejscu, że Izba niższa wiedeńskiej Rady Państwa składała się pierwotnie w myśl lutowego patentu z delegacyj poszczególnych prowincyonalnych sejmów, była zatem reprezentacyą krajów koronnych, w skład rakuskiej rzeszy wchodzących. Federalistyczna zasada, źródłem tego ustroju będąca, została pogwałconą pod rządami t. z. „mieszczańskiego gabinetu,“ który zaprowadziwszy w centralizacyjnych widokach bezpośrednie wybory, odebrał przedlitawskiej Izbie niższej pierwotny jej charakter i zamienił ją w reprezentacyę poszczególnych okręgów wyborczych. Nie chcąc się puszczać na manowce biernej opozycyi, wzięła Galicya wprawdzie udział w obradach tego centralnego parlamentu; — sejm wszelakoż założył protest przeciw temu pogwałceniu praw krajowych, a logicznem następstwem tego protestu jest owo *non possumus*, przy którem stojąc, poselstwo nasze wbrew centralistycznym zachciankom przedlitawskiej Izby niższej, jako z bezpośrednich wyborów powstałej, prawa do zabierania głosu w sprawach zewnętrznej polityki stanowczo odmawiać musi, przyznając takowe tylko sejmom (*vide!* interpelacya Klaczki w czasie franko-pruskiej wojny) oraz wspólnym delegacyom. Czyni tak dlatego, że ciało to, do którego przedlitawska Izba posłów prowincyonalnemi kuryami wybiera, w myśl powyższej zasady rzeczywistym jest przedstawicielem krajów, w skład rzeszy przedlitawskiej wchodzących, i jedynie przeto jako parlament państwowy uważaną być może.

Wywód ten nie jest wcale nowym i *ad hoc* sporządzonym. Stało przy nim zawsze poselstwo nasze, które jakkolwiek dziś już nie od sejmu mandat swój odbiera, zatrzymało tytuł „delegacyi,“ i dziś tak jak przed tem sejm krajowy jako swego mocodawcę uważa. Najlepszym tego dowodem, że takiem a nie innem było zawsze zapatrywanie polaków, jest wrzawa, która swojego czasu około misyi powstała. Wiadomo bowiem, iż przyczyną całego sporu było nic innego, jak tylko to, iż secesyoniści wbrew powyższemu zapatrywaniu sprawę w zakres zewnętrznej polityki wchodzącą przed forum Izby niższej wytoczyli, i że ich z tego powodu o schlebianie centralistom, o wyłamanie się z pod karności narodowej i o sprzeniewierzenie się obowiązkom obrony praw krajowych pomawiano. Wobec sprawdzonego w ten sposób istotnego stanu rzeczy upada, jak widzicie, plotka, przedstawiająca pobudki działania poselstwa naszego w odmiennem świetle. Mimo to utrzymała się ona długi czas w europejskiej prasie; lewica niemiecka bowiem przedlitawskiej Izby niższej starała się ją uwierzytelnić, wynurzając kondolencyę od siebie, jako *votum separatum* mniejszości, uciśnionej wrzekomo przez galicyjskie poselstwo i jego sojuszników. Chodziło z jednej strony o zamanifestowanie zasady centralistycznej, która Izbę niższą, jako ciało do zabierania głosu w sprawach zewnętrznej polityki uprawnione uważa — z drugiej zaś o skompromitowanie polaków w oczach Europy. Zły zamiar ten był tu widocznym, aliści złość lichym bywa doradcą, — zaślepieni bowiem powodzeniem swej intrygi centraliści umyślili przyprzeć polaków do muru bardziej jeszcze, w Izbie wyższej przedlitawskiego parlamentu. Tu atoli nie krępowały polskich lordów te same względy, co w Izbie niższej;— Izba Panów bowiem nie była nigdy przedstawicielką koronnych krajów, tylko reprezentacyą przedlitawskiej magnateryi. To też gdy przewodniczący tego ciała hr. Trautmannsdorf zabrał głos celem wymuszenia kondolencyi z powodu petersburskiego zamachu, przyłączyli się polacy w Izbie panów zasiadający do tej manifestacyi. I tak tedy posłużyły podstępne knowania niemców do wyjaśnienia stanowiska naszego społeczeństwa wobec tej sprawy, skutkiem czego zasady nasze i przekonania w tej mierze najmniejszej dziś już ulegać nie mogą wątpliwości.

Nie potrzebuję was prawdopodobnie zapewniać, że w tej ważnej dla was chwili uwaga nasza odrywa się od naszych spraw wewnętrznych i domowych, zwracając się z tem większem zajęciem w stronę Wisły i Newy, i że w tej mierze nie prosta nami kieruje ciekawość. Łączymy się z wami duchowo, i pragnęlibyśmy zespolić się z waszą myślą, aby was podeprzeć sercem naszem, a wzbogacić doświadczeniem. Zaiste chwila ta ważną jest, a gdyby nas o jej doniosłości nie ostrzegało przeczucie, to jednak musielibyśmy uwierzyć w głębokie jej znaczenie, widząc popłoch i zaniepokojenie w wrogich nam obozach, a słuchając tych głosów z nad Sprewy i Negliny, co podobnemi są do piania kurów u Piłata.

Junius.

LUDNOŚĆ POLSKI

w roku 1791.

Zapoznamy czytelnika z ogłoszonym w *Muzeum* krakowskiem rozdziałem monografii p. Korzona, zawierającym ciekawe *obliczenie* ludności i *charakterystykę stanów* Polski z końca XVIII stulecia.

Szlachta według rachunku p. Korzona liczyła:

ziemian, dzierżawców, oficyalistów	318,000.	725,000.
szaraków . . .	407,000.	
Duchowieństwo katolickie głów . . .	10,000.	50,000.
unickie i dysunickie	40,000.	
Mieszczanie chrześcianie	350,000.	500,000.
protestanci . . .	150,000.	
Tatarzy	50,000.	
Ormianie i grecy . .	100,000.	
Żydzi	900,000.	
Roskolnicy	100,000.	
Włościanie wolni .	1.000,000.	6,265,000
podd. ekonomii	190,000.	
„ starostw. .	840,000.	
„ dóbr duchow.	860,000.	
„ „ dziedzicz.	3.550,000.	

Z ogólnej sumy włościan: katolików 3,465,000; unitów 2,600,000; dysunitów 300,000.

Ogół ludności 8,790,000. Według wyznań: katolików 4,660,000; unitów 2,600,000; dyzunitów 300,000; protestantów 150,000; starozakonnych 900,000; roskolników 100,000; mahometan 50,000.

Pod szlachtą rozumie autor panów, ziemian i zagonowców. „Ani we Francyi, ani w Anglii, ani w krajach niemieckich stan tytułowany nie dosięgał nawet cyfr absolutnych szlachty polskiej XVIII wieku... Mogła zwać się *narodem*, skoro liczniejszą była od ludności niejednego z państw pomniejszych np. Szwajcaryi i Danii!“ Zgoda na skonstatowaną wielość szlachciców; pytamy jednak: czy, żeby dana grupa społeczna przybrała miano *narodu*, wystarcza jej suma bez uwzględnienia liczebnego do warstw innych stosunku? Przypuszczamy, że szlachtą polską można było zapełnić to czy owo państewko; nie idzie przecież zatem, żeby we własnym kraju wobec warstw innych „mogła zwać się *narodem*.“ Ów właśnie stosunek liczebny szlachty do mieszczan i chłopów okazują cyfry, przytoczone powyżej.

Panów mierzy p. Korzon skalą majątku i ciekawe odnośnie do fortun przytacza szczegóły; nie podaje jednak liczby magnatów, nie oznacza rozległości ich dóbr lub sumy intrat. Zdaje się przecież, że, identyfikując rody historyczne z panami, można-by cyfry postawić. Książętami byli: Denhofowie (1647), Jabłonowscy (1743), Lubomirscy (1647), Ossolińscy (1637), Poniatowscy (1764), Massalscy i Ponińscy (1775), Radziwiłłowie (1515), Sapiehowie (1768), Sułkowscy (1752); z litewskiemi, wywodzącemi pochodzenie od Ruryka i Gedymina, było w rzeczypospolitej około 80 rodzin książęcych. Zatytułowanych hrabiów mniej było: Chodkiewicze (1555), Krasiccy (1631), Miączyńscy (1688), Tarłowie i Tarnowscy, zresztą dużo materyału na hrabiów t. j. rodzin bez mitry, liczących w sobie królów, hetmanów, kanclerzy i t. p. Za niezłą w tym względzie informacyę służyć może: *Notice sur les principales familles de la Pologne (par G. B. Dresde*, 1862).

Zgadzamy się z p. Korzonem, że *szlachta zagonowa* była „żywiołem raczej niebezpiecznym, niż pożytecznym dla męża stanu w epoce badanej;“ przeczymy jednak, żeby stronnictwo reformy na sejmie wielkim „nie brało jej wcale w rachubę przy układaniu projektów nowego rządu;“ żeby ją usunęło od sejmików i unicestwiło w życiu publicznem. Prawo o sejmikach dopuszczało do głosu wszystkich dziedziców, *jakikolwiek* płacących podatek, zastawników nawet i posesorów dożywotnich, dziesiątego grosza sto złotych wnoszących; — usuwało od obrad jedynie dzierżawców, szlachtę czynszową i władzy zwierzchniej prywatnej podległą. Drobna szlachta mazowiecko-podlaska, stanowiąca przynajmniej $1/2$ ogólnej liczby szaraków, miała dziedzictwa; nic przeto na ustawie majowej tracić nie mogła; jedynie część drugiej — szlachty litewsko-ruskiej — siedzącą na czynszach, odepchnięto od obrad.

$1/10$ dymów Korony w dobrach ziemskich należała do *kleru*. „Gdybyśmy, powiada autor, podzielili tę masę na równe części podług liczby głów duchowieństwa, to na każdego księdza tak świeckiego, jak zakonnika, przypadłaby wcale niezła wioska o 14 przeszło dymach.“ Szkoda, że nie znajdujemy liczebnego podziału duchowieństwa na zakonne i świeckie, że nie znamy uposażeń klasztorów. Sądzę, że możnaby (lubo z wielkim mozołem) i tu cyfry pewne postawić. Tak np. oo. kameduli w r. 1791 mieli w rzeczypospolitej klasztorów siedm: pięć w Koronie, a dwa na Litwie. Według taryf komisyi lustracyjnych jeden klasztór miał z trzech folwarków rocznego dochodu złp. 7,943; 2-gi z jednego folwarku złp. 3.129 gr. 18; 3-ci z dwóch folwarków 8.136 gr. 28; 4-ty z trzech folwarków złp. 14.259 gr. 22; 5-ty z jednego folwarku złp. 3,566 gr. 16; 6-ty z czterech folwarków na Litwie złp. 8,736 gr. 21; 7-my, klasztór wygierski, podał i zaprzysiągł przed komisyą powiatu grodzieńskiego z ośmiu folwarków dochodu rocznego złp. 59,383 gr. 27. Wszystkie siedm klasztorów miały rocznie dochodu złp. 105,156 gr. 12; płaciły podatku około 30,000 złp. a utrzymywały około stu zakonników (*Odpowiedź xx. kamedułów na cygańską notę* bez m. i r.). Nie możemy się zgodzić z szanownym autorem na orzeczenie, że „gorliwość wyznaniowa szlachty sejmującej i podobieństwo interesów materyalnych wytwarzały zgodność, niemal jednolitość interesów, upodobań i dążności stanu świeckiego z duchownym.“ Podczas sejmu wielkiego walka między laikami a klerem była zacięta. „Ksiądz — piszą tamci — jest to mucha, jest członek najnieużyteczniejszy, jest truteń... Ksiądz i zakonnik, każdy co do przewinień, jest człowiekiem, wyjąwszy użyteczność społeczeństwa“ (*Ksiądz z kropidłem na cygana z gandzarą*. Warszawa b. m. i r. (1790), str. 19). Na posiedzeniach sejmu słyszymy ostre względem kleru porywy, np. w sprawie szlachty sieluńskiej.

Z wielką skrzętnością zrachował p. Korzon ludność miast głównych i ogół mieszczaństwa na 500,000 obliczył; z niemniejszym mozołem rozklasyfikował włościan. Tablica podziału ludności według stanów i wyznań jest znakomitym ku poznaniu wewnętrznych Polski XVIII wieku stosunków nabytkiem i badawczym zdolnościom autora prawdziwą przynosi chlubę. Poglądając na ułożoną przez siebie tablicę ludności, w ten sposób szanowny autor kończy swój fragment.

„...Dwie trzecie ludności zostawały w pętach poddaństwa, prawie $1/9$ (żydzi, ormianie i grecy) była zupełnie (?) obojętną na losy kraju; prawie $1/25$ część (dyzunici i roskolnicy) żywiła niechętne dla Polski uczucia; masa blisko 8 milionowa nie miała poczucia obowiązków obywatelskich względem rzeczypospolitej i uważaną być powinna tylko za bierny materyał... W przededniu zatem stanowczej walki o niepodległość, w epoce sejmu czteroletniego, kwestya władzy państwowej mieściła też w sobie decyzyę o sumie sił fizycznych, mięśniowych, jakiemi Polska ku własnej obronie rozrządzać może.“

„Utrzymywanie i ratowanie budowy politycznej musiało leżeć na stanach wolnych: szlachcie, duchowieństwie i mieszczanach. Razem z tatarami tworzyła się z nich... $1/6$ całej ludności. Wszakże nędza i ciemnota spychały szlachtę szaraczkową i niższe warstwy mieszczaństwa na szczebel elementów biernych. Właściwym zbiornikiem czynnej siły politycznej była tylko szlachta zamożniejsza i wykształceńsza, duchowieństwo katolickie i po części unickie, oraz wyższa warstwa mieszczaństwa z większych miast królewskich. Wszystkie te grupy utworzą razem małoco więcej nad 100,000 rodzin Kołłątaja, z pół miliona głów płci obojej, ze ćwierć miliona płci męzkiej, ze 180,000 mężów, prócz starców zgrzybiałych i dzieci.“

„Nie należy lekceważyć tego półmilionowego zastępu: może on zdobyć się na wielką żywotność i rozwinąć siłę potężną, jeśli mu dopiszą siły umysłowe i moc charakteru! Gdyby stanął mąż obok męża; gdyby wszyscy spoili ramię z ramieniem, — mogliby sami zwycięzko odeprzeć trzy armie nieprzyjacielskie... Statystyka ludności z r. 1791 (ale nie 1793) przedstawia jeszcze dostateczną skarbnicę sił i narzędzi do obrony narodu, ale nie do pierwszorzędnej roli w gronie innych narodów europejskich.“

Wł. Smoleński.

HYPNOTYZM.

III.

Przejdziemy obecnie do zjawisk hypnotyzmu. Gdy po długiem wpatrywaniu się w jaki mały, błyszczący przedmiot, oczy przymkną się mimowoli, rozpoczyna się wówczas pierwszy okres snu hypnotycznego. Charakterystyczną jego cechą bywa podniesiona znacznie wrażliwość.

Jeżeli pacyent nie zostanie zbudzonym, a dość silnie zahypnotyzowanym, następuje drugi okres, przyczem wrażliwość znacznie się zmniejsza, ciało zaś całe nabiera sztywności kataleptycznej.

Jak czułe bywają zmysły w pierwszem stadyum hypnozy, przekonywają liczne dowody, przytoczone przez Braida. Niektórzy z jego pacyentów w stanie hypnotycznym rozpoznawali przedmioty, które trzymano w odległości półtora cala od skóry przy różnych częściach ciała. Pobudzona znacznie wrażliwość skóry pozwalała im odczuwać formy przedmiotów po ogrzaniu lub ochłodzeniu jakiegoś na niej miejsca. Fakt, iż osoby zahypnotyzowane można zniewolić do chodzenia w kierunku wskazanym przez hypnotyzera, wyjaśnia się tem, iż pacyent w skutek pobudzonego czucia ulega przyjemnym a odsuwa się od nieprzyjemnych powiewów powietrza. Wola operatora nie wywiera tu żadnego wpływu.

W pierwszem stadyum hypnozy, jak to powiedzieliśmy wyżej, wszystkie zmysły dosięgają niezwykłej wrażliwości, wzrok jedynie bywa osłabionym, gdyż powieki zwolna przymykają się, przy czem przez dłuższy czas drżą nerwowo. Braid dzieli pacyentów swych pod tym względem na dwie kategorye: jedni przez przymknięte powieki byli w stanie widzieć, drudzy po przejściu w stan hypnotyczny zmysł wzroku tracili zupełnie.

Słuch w pierwszym okresie hypnozy staje się czułym niezwykle, w drugim słabnie do minimum. Głucho-niemi, nad którymi Braid czynił doświadczenia, w pierwszem stadyum mogli rozróżniać niektóre dźwięki.

Powonienie bywa z początku nader pobudzone, w drugim okresie słabnie i niemal znika, po przebudzeniu zaś przechodzi w stan normalny. W stanie głębokiej hypnozy zmysł smaku prawie znika. Osoby zahypnotyzowane uważają np. czystą wodę za taki napój, za jaki poda ją hypnotyzer. Preyer przytacza własne doświadczenie, w którem pacyent wypił całą szklankę cieczy kwaśnego, wstrętnego smaku, którą mu podano jako wodę z cukrem. Na zapytanie, czy mu smakowała, dał znak potwierdzający.

Do jakiego stopnia pobudzonym bywa dotyk w pierwszym okresie hypnozy, przekonywa fakt, iż osoby uśpione mogą rozpoznać przedmiot, znajdujący się w odległości kilku cali od ciała. O ile jednak z początku czucie staje się wrażliwem, o tyle wkońcu słabnie, tak, że pacyent wpada w pewien stan odrętwienia, w którem nie czuje nawet kłucia, szczypania, gorąca, chłodu i t. d.

Skutkiem tego, jeżeli wprowadzimy w stan hypnotyczny osobę cierpiącą fizycznie, w pierwszem stadyum hypnozy najmniejsze dotknięcie sprawiać jej będzie ból dotkliwy, w drugiem ból znika, i często nawet po przebudzeniu nie powraca. Jak znacznem bywa znieczulenie, pouczają nas doświadczenia Braida, w których on wyrywał pacyentom zęby bez najmniejszego bólu. Bywały również wypadki dokonywania nader trudnych operacyj chirurgicznych nad osobami zahypnotyzowanemi. W Kalkucie, w szpitalu miejskim, doktór Esdaile dokonał ich około 300. Za pomocą samego zahypnotyzowania dawał się nieraz usuwać nawet dotkliwy ból głowy i cierpienia reumatyczne.

Nader znaczną i ogólnie stwierdzoną jest niezwykła czułość na wszelkie podmuchy wiatru. Osoby bardziej wrażliwe czują powiew nawet w odległości 50 lub 90 stóp i odwracają się przytem. Za pomocą silnego dmuchania można najłatwiej przebudzić osobę zahypnotyzowaną.

Osoby zahypnotyzowane okazują widoczną dążność utrzymania całego ciała w jednej i tej samej pozycyi, czem różnią się zasadniczo od lunatyków. Jeżeli jednak podniesiemy jedną z kończyn lub wprowadzimy w ruch pewne mięśnie, wówczas przejawia się pewna skłonność do przejścia w stan kataleptycznego odrętwienia. Charakterystyczną nader jest przytem okoliczność, iż po przebudzeniu pacyenci nie odczuwają najmniejszego zmęczenia po nienaturalnem naprężeniu mięśni.

Jeżeli osobie zahypnotyzowanej włożymy w rękę jaki przedmiot, wówczas ściska go ona silniej, podczas snu zaś zwykłego zwykle upuszcza.

Znamienną cechą hypnotyzmu jest to, iż osoby uspione starają się utrzymać ciało w równowadze i nie padają nigdy, podobnie jak i lunatycy.

Jeżeli w stanie zupełnego odrętwienia ciała i znieczulenia zmysłów, powiada Braid, dmuchniemy na jedno oko, lub z lekka go się dotkniemy, wówczas odzyskuje ono wzrok, oraz czucie i ruchliwość powracają w tej połowie ciała, do której pobudzone oko należy; natomiast druga połowa zachowuje poprzednią bezwładność i odrętwienie. Słuch jednakże i powonienie nie wracają nawet w tej części ciała, która ze stanu hypnozy została wyprowadzoną.

Jest to, tak zwany, hypnotyzm połowiczny.

Freno-hypnotyzmem nazywa Braid możność wywoływania pewnych stanów wzruszenia, namiętności i uczuć wskutek dotknięcia przez operatora odpowiednich nerwów skórnych. Nie u wszystkich jednak osób dotykanie tych samych części skóry wywołać może podobne przejawy. I tu wola operatora nie przyjmuje najmniejszego udziału, gdyż te same objawy występują

zarówno wskutek dotknięcia pewnych części ciała ręką hypnotyzera, jak i kilko-stopowym prętem szklannym, co Braid stwierdził licznemi doświadczeniami.

Ażeby wywołać zjawiska freno-hypnotyczne, należy samą osobę zahypnotyzować zwykłym sposobem, następnie podnieść jej ręce, zostawić je czas jakiś w tem położeniu, poczem oprzeć ręce na korpusie i pozostawić ją przez pewien czas w zupełnym spokoju. Następnie nacisnąć trzeba lekko palcem pewną część skóry na głowie. Jeżeli twarz się nie zmieni lub nie objawi się żaden ruch, wypada potrzeć zlekka dotknięte miejsce i zapytać cicho, o czem pacyent myśli, czego żąda, co chciałby czynić, wreszcie co widzi? Naciskania skóry i pytania trzeba powtarzać dotąd, dopóki nie otrzymamy odpowiedzi. Jeżeli pacyent podczas doświadczenia się obudził, należy go uśpić i całą operacyę rozpocząć na nowo. Zjawiska freno-hypnotyczne występują zazwyczaj dopiero po drugiej lub trzeciej próbie.

Najwrażliwszą na dotknięcie jest skóra na środku czoła. Jeżeli ją naciśniemy w odpowiedniem miejscu, wówczas, według Braida, porażone być mogą obie półkule wielkiego mózgu i osoba zahypnotyzowana utraca pamięć.

Dotknięcie podbródka powoduje wydzielanie się śliny i skłonność do połykania. Dotknięcie końca nosa budzi chęć wąchania i t. p. Pierwsze doświadczenia freno-hypnotyczne, dokonane w Liverpolu w r. 1842, nie powiodły się. Dopiero w grudniu tegoż roku podczas jednej z prób udało się otrzymać pożądany skutek. Począwszy od 2 czerwca 1843 w przeciągu pół roku zdołał Braid wywołać w 45 wypadkach zjawiska freno-hypnotyczne. Dwadzieścia pięć kolejnych doświadczeń opisał szczegółowo; wszystkie doprowadziły do tak oryginalnych rezultatów, iż z trudnością, dać im można wiarę. A jednak nie ma przyczyny wątpić o prawdomówności Braida.

W doświadczeniach swych opierał się on na najnowszych podówczas zdobyczach frenologii, nie powiada jednak nigdzie, że doświadczenia te stwierdzają wywody uczonych frenologów.

Przytoczymy tu jedynie kilka zjawisk, jakie wywołał przez dotykanie różnych części skóry. Naciśnięcie kości nosowej wywoływało śmiech gwałtowny; kiedy przestano naciskać, powracał zwykły poważny wyraz twarzy. Przy naciśnięciu podbródka ustawał oddech wśród westchnień i szlochania. Kiedy dotknięto jednocześnie podbródka i nosa, występował dziwaczny wyraz twarzy, będący niejako kombinacyą płaczu i śmiechu, jak to spotrzegać się daje czasami u osób histerycznych.

Przy kilkakrotnem powtarzaniu doświadczeń otrzymywano też same rezultaty. Pacyentka, nad którą je czyniono, po przebudzeniu nie wiedziała o niczem.

Kiedy po raz pierwszy dotknął przypadkiem części skóry w miejscu, któremu, według mniemania frenologów, odpowiada w mózgu ośrodek zdolności naśladowania, wówczas osoba zahypnotyzowana powtarzała wyraźnie i dobitnie wszystko, cokolwiek operator mówił nawet w nieznanych jej językach.

Muzyka wywoływała skłonność do ruchów tanecznych. W doświadczeniach tych zadziwiały wszystkich szybkie zmiany wyrazu twarzy, które następowały w mgnieniu oka, gdy tylko odpowiednia część twarzy została dotknięta.

Braid, przytaczając mnóstwo faktów nie probuje nadać im uzasadnienia teoretycznego. Tu i owdzie tylko wplata luźnie jakąś uwagę lub domysł, które Preyer przytacza w miarę ich ważności. Łącznie z freno-hypnotyzmem Braid opisuje inne, pokrewne zjawisko, mianowicie tak zwaną *fascynacyę*, oczarowanie. Znane są wypadki, w których np. ptak zbliża się do czatującego nań węża, człowiek znalazłszy się między dwoma wozami zamiast uciekać, stoi na miejscu i t. p. Według Braida są to skutki *monoideizmu*. Gdy uwagę pochłania jakieś wyobrażenie, nerwy i mięśnie otrzymują pobudkę, która wywołuje odpowiedni ruch, nie tylko bez świadomego wytężenia woli, ale nawet często wbrew niej. Jest to stan *mono-ideo-dynamiczny* — czarowanie.

(Dokończenie nastąpi).

POGADANKI NAUKOWE.

O gramatyce porównawczej języków indo-europejskich.

VI.

Języki państwowo-literackie spotykają się u słowian tylko przy niezależności państwa, w którem przeważną rolę gra jedno z plemion słowiańskich. Takim przedewszystkim jest język *rosyjski*, powstały w państwie moskiewskiem na tle cerkiewno-słowiańskiem. Ale, o ile charakter ruskiego języka cerkiewno-słowiańskiego zależy głównie od tego, że przez pewien czas ogniskiem oświaty kościelnej na Rusi był Kijów, o tyle przy tworzeniu państwowego i administracyjnego języka Rosyi otrzymało przewagę jej ognisko polityczne, t. j. Moskwa. Oswobodzeniu języka państwowego od pierwiastków cerkiewno-słowiańskich pomogły w znacznej części reformy Piotra W. i jego pomocników w różnych gałęziach działalności społecznej i literackiej. Pomimo oczyszczenia ruskiego języka piśmiennego od naleciałości cerkiewno-słowiańskich, pozostała w nim jednak pewna przymieszka języka cerkiewno-słowiańskiego, a w każdym razie teraźniejszy język rosyjski piśmienny, nietylko państwo-administracyjny, ale i literacki, ze swego pochodzenia i dalszego rozwoju, jest językiem cerkiewno-słowiańskim, zmodyfikowanym pod silnym wpływem języka ludowego.

Oprócz języka rosyjskiego w świecie słowiańskim istnieją jeszcze następujące języki państwowego znaczenia język: *serbski* (w Księstwie Serbskiem i w Czarnogórzu) i (w najnowszych czasach) język *bulgarski* (w Księstwie Bulgarskiem). W dawniejszych czasach istniały jeszcze państwowe języki słowiańskie: *polski* (w Polsce), *białoruski* (w W. Księstwie Litewskiem), *chorwacki* (w niezależnej Chorwacyi) i t. d.

W granicach państwa rosyjskiego z pomiędzy języków słowiańskich jeden tylko język *rosyjski* ma prawo obywatelstwa jako *język szkoły* i *administracyi wewnętrznej*, z zupełnem usunięciem innych języków słowiańskich, gdy tymczasem np. w guberniach nadbałtyckich podobną rolę języka szkolno-administracyjnego gra niemiecki.

W Austryi, skutkiem jej składu z rozmaitych historycznie jednolitych i w pewnym stopniu autonomicznych prowincyj z różnorodną ludnością, dla administracyi wewnętrznej, przynajmniej według zasadniczych praw państwowych, zostały równouprawnione wszystkie języki, w tej liczbie także następujące słowiańskie: *polski*, *małoruski* czyli *rusiński*, *czeski*, *słowieński* i *chorwacki*. Faktycznie zaś równouprawnienie tych języków urzeczywistnia się nie w jednakowym stopniu. Tak np. z najobszerniejszych praw korzysta pod tym względem język *polski*, obok niemieckiego mający w Galicyi przewagę nad *rusińskim* czyli *galicko-małoruskim*, który jednakże jest uznany i dopuszczony tak w szkole, jak i w administracyi. Drugie miejsce zajmuje język *czeski* w Czechach, ustępujący jednakże w szkole i w administracyi językowi niemieckiemu. Podobnie w Dalmacyi i Istryi język włoski, obok niemieckiego, usuwa na drugi plan język ludowy *chorwacki*. W nie lepszych warunkach znajduje się, w stosunku do niemieckiego, język *słowieński*, nietylko w prowincyach, gdzie obok słowińców mieszkają inne narodowości, ale także w Krajnie, prawie wyłącznie zaludnionej przez słowińców. W maleńkich prowincyach Austryi, z ludnością mięszaną, języki pojedyńczych narodowości blednieją wobec panującego języka niemieckiego. Tak np. w Bukowinie, gdzie obok rumunów mieszkają rusini, następnie na Szląsku Austryackim, zaludnionym w połowie przez polaków, a w połowie przez czechów, z nieznaczną przymieszką niemców, w Morawii, gdzie język czeski jest także usunięty na drugi plan przez niemiecki, i t. d. Nie mniej przeto równouprawnienie wszystkich języków Cesarstwa Austryackiego uznaje się choć w ten sposób, że napisy na gmachach rządowych, a zwłaszcza na gmachach zarządu pocztowego, umieszczone są we wszystkich językach danej prowincyi. Tak np. w Hrabstwie Goryckiem na wszystkich stacyach pocztowych oprócz napisów niemieckich są także napisy w językach włoskim i słoweńskim. Przytem nie należy zapominać, że w Austryi, jak zresztą i w innych państwach, administracya instytucyj centralizowanych, a administracya miejscowa, prowincyonalna — są to dwie różne rzeczy. Pod względem równouprawnienia języków instytucye centralizowane okazują zwykle więcej tolerancyi, aniżeli prowincyonalne, autonomiczne. Tak n. p. we wzmiankowanem już Hrabstwie Goryckiem język słoweński doświadcza od władz państwowych centralnych daleko mniejszych ograniczeń, aniżeli od miejscowych włochów (właściwie furlanów, którzy przyswoili sobie włoski język literacki), przeważających w tej prowincyi, jeżeli nie liczebnie, to przynajmniej co do wpływu, i dążących do zupełnego wyparcia języka słowińskiego z urzędowego użycia.

W węgierskiej połowie państwa austro-węgierskiego warunki są cokolwiek inne. Tam spotykamy wyłączność i nietolerancyę. Madziar nie przyznaje praw żadnemu językowi oprócz węgierskiego czyli madziarskiego. Dla tego też ani język słowacki, ani serbski, ani słowiński nie zyskały sobie dotychczas w Węgrzech prawa obywatelstwa w świecie administracyjnym.

Natomiast w Chorwacyi czyli Kroacyi, połączonej z Węgrami na warunkach autonomii, w administracyi przeważa język chorwacki, z usunięciem tak niemieckiego, jak i madziarskiego, chociaż napisy np. na kartkach pocztowych są i tam wyłącznie madziarskie czyli węgierskie. Język *chorwacki* uznany także został za urzędowy w niedawno przyłączonych prowincyach Bośni i Hercogowiny.

Rozumie się, że w Księstwie Serbskiem i w Czarnogórzu językiem administracyjnym i szkolnym jest język *serbski*.

Język *bulgarski* gra rolę języka administracyjnego i szkolnego nietylko w na pół niezależnej Bulgaryi, ale także, obok greckiego, w autonomicznej Rumelii Wschodniej.

Orócz tego w Turcyi, jak dawniej, tak i teraz, w miejscowościach, zaludnionych przez słowian, językami administracyi, oprócz tureckiego, są *faktycznie* także odpowiednie języki słowiańskie: między bulgarami bulgarski, między serbami — serbski.

Pozostałe państwa europejskie, władnące pewną częścią plemienia słowiańskiego, zupełnie nie zwracają uwagi na języki tych plemion. Nie mówię już o Włoszech, gdzie słowianie są bardzo nieliczni i nie mają żadnych tradycyj ani cywilizacyjnych, ani literackich, — wszechmocne Prusy nietylko nie uznają praw języka polskiego w administracyi, ale nawet starają się wszelkimi środkami przeszkadzać jego użyciu do innych celów. Nie ma więc co nawet wspominać o językach łużyckich. Zresztą dawniej w niezależnej Saksonii język górno-łużycki, chociaż nie był używany w administracyi, pomimo to nie doświadczał prze-

śladowania ze strony rządu. Teraz zaś, pod jednoczącą pikelhaubą pruską wszystko powinno być sprowadzone do jednego mianownika.

Wyżej wspomniałem kilka razy o języku „serbskim,“ różnym od „chorwackiego,“ gdy tymczasem przy przeglądzie plemion słowiańskich ze stanowiska dyalektologicznego czyli etnograficznego mieliśmy tylko jedno plemię „serbo-chorwackie.“ Pytanie: skąd pochodzi podobna różnica? od czego ona zależy?

Odpowiedź na to pytanie daje nam historya. Prawdziwi serbo-chorwaci, jak teraz, tak i dawniej stanowili jedno tylko plemię. Ale bardzo wcześnie losy historyczne rozdzieliły to plemię na dwie części. Głównym sprawcą tego rozdziału było wyznanie religijne: jedni dostali się pod władzę papieża, drudzy zaś stali się prawosławnymi kościoła wschodniego, — nie mówiąc już o tak zwanych „renegatach,“ którzy przyjęli później mahometanizm. Z różnemi wyznaniami zapożyczono także różne alfabety: katolicy wzięli łaciński, prawosławni zaś — zmodyfikowany grecki czyli kirylicki (cyrylicki). Jedno i drugie powinno było wywołać prawie zupełne odosobnienie w literaturze i rozwój osobnych samoistnych tradycyj literackich. Serbo-chorwaci katolicy dostali z czasem nazwę chorwatów, prawosławni zaś zostali utożsamieni z serbami. Jako prawosławni, serbowie ulegali wpływowi prawosławnej literatury kościelnej, a przedstawiciel tej literatury, t. j. język cerkiewno-słowiański powinien był wpływać na język serbski, chociaż, jak widzieliśmy, ulegał także silnemu wpływowi z jego strony. Do początku bieżącego stulecia serbski język cerkiewno-słowiański stosowano, z nieznacznemi zmianami, także w świeckiej literaturze, o ile ona wogóle istniała. Dopiero w obecnem stuleciu znakomity Wuk Stefanowić Karadžić, można powiedzieć, stworzył serbom czysto ludowy język literacki, odrzuciwszy wszelkie tradycye kościelno-literackie i stanąwszy wyłącznie na gruncie ludowym. W tym celu uważał za konieczne zreformować zarazem alfabet, zapożyczywszy jego postać zewnętrzną od rosyan, ale zupełnie samodzielnie zastosowawszy go do oznaczenia dźwięków (głosek) języka ojczystego. Taki był początek obecnego literackiego *języka serbskiego*.

W tej nowej postaci jest on prawie jednakowy z językiem *chorwackim*, który całkiem niezależnie od niego rozwinął się u serbo-chorwatów katolików i był pisany zawsze literami łacińskiemi. W w. XVI i XVII, w czasie rozkwitu literatury dubrownickiej (raguzańskiej) i wogóle dalmackiej (dalmatyńskiej), istniała osobna postać literackiego „języka chorwackiego,“ cokolwiek różna od tej, która stała się panującą po przeniesieniu ogniska ruchu literackiego chorwatów na północ zajmowanego przez nich terytoryum. Teraźniejszy język *chorwacki* uformował się ostatecznie w bieżącem stuleciu, a, jak już zauważyłem, jest on prawie identyczny z językiem serbskim.

Za przykładem Napoleona I, który utworzył Królestwo Iliryi, język chorwacki nazywano przez pewien czas *ilirskiem*.

Między *literackimi językami słowiańskimi* (t. j. językami literackimi w ścisłem znaczeniu tego wyrazu) należy odróżniać języki literackie, używane we wszystkich gałęziach nauki, literatury nadobnej i publicystyki, a następnie języki z bardziej ograniczonym zakresem, przeważnie ludowe, ograniczające się do niebogatej literatury nadobnej (belletrystyki) i do publicystyki. Naturalnie, między temi dwiema krańcowemi kategoryami istnieją odmiany przejściowe, a prócz tego tak jedna, jak i druga kategorya główna dzieli się na kilka podrzędnych.

Pierwsze miejsce między literackimi językami słowiańskimi zajmuje obecnie język *rosyjski* (wielkoruski). Jeżeli jednakże zwrócić uwagę i na dawniejszy rozwój, to językowi rosyjskiemu nie tylko nie ustąpi, ale nawet przewyższy go język *polski*. Językami ogólnego znaczenia literackiego są także języki *czeski*, *chorwacki* i *serbski*.

Nierównie bardziej ograniczonym jest zakres literacki języków *słowińskiego* (*słowieńskiego*, *kraińskiego*), *bułgarskiego*, *słowackiego* (u słowaków w Węgrzech północno-zachodnich) i *górno-łużyckiego*, który, można powiedzieć, podtrzymuje się tylko sztucznie i w razie śmierci kilku miłośników-patryotów przestałby zupełnie istnieć.

Język *dolno-łużycki* służy także za organ literatury pewnego rodzaju, składającej się z jednej gazety dla ludu, z kalendarza i z kilku książeczek popularnych. Wogóle zaś pod tym względem nie o wiele on przewyższa *kaszubski* język literacki, którego „literatura“ zależy od działalności jednego człowieka, Floryana Cenôvy.

W Galicyi, obok języka polskiego, rolę literacką gra także język *rusiński* czyli *ruteński*. Ale, na nieszczęście, większość piszących tym językiem stanęła nie na czysto ludowym gruncie, ich język piśmienny przedstawia jakąś niestrawną mieszaninę z języka cerkiewno-słowiańskiego, rosyjskiego (wielkoruskiego), polskiego i, nakoniec, galicyjsko-małoruskiego. Stosownie do sympatyi i przyzwyczajeń pisarzy, przeważa to jeden, to drugi żywioł. Ten sam język, z różnemi modyfikacyami, jest w użyciu u rusinów Bukowiny i Węgier północno-wschodnich.

Przed dwudziestu mniej więcej laty w granicach Rosyi dano początek rozwojowi prawdziwego małoruskiego (ukraińskiego) języka literackiego, języka Szewczenki i innych pisarzy ludowych. Ale niepomyślne okoliczności uniemożliwiły w Rosyi dalszą działalność literacką w tym języku. Jeszcze teraz drukują się w tym języku różne dzieła i artykuły, ale drukują się za granicą.

Łacińskiego alfabetu używają następujące języki literackie słowiańskie: polski, czeski, słowacki, słowiński, „chorwacki,“ oba łużyckie i kaszubski. Zmodyfikowana zaś cyrylica (*alfabet rusko graždański*) stosowaną jest do języków rosyjskiego, małoruskiego (w różnych modyfikacyach), do serbskiego i bułgarskiego. Oprócz tego bułgarowie i rusini galicyjscy używają także cyrylicy cerkiewnej, która wyłącznie panuje w prawosławnem piśmiennictwie kościelnem. O użyciu głagolicy u niektórych chorwatów-katolików i o użyciu „szwabacha“ przez słowian-protestantów w Cesarstwie Niemieckiem mówiłem wyżej.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

J. Baudouin de Courtenay.

WYKŁADY PUBLICZNE.

I.

Główną zasadą pedagogiki jest: *non multa, sed multum*, to znaczy, iż ucząc, nie należy sił swych rozpraszać na wykład mnóstwa przedmiotów, lecz poświęcić je gruntownemu zgłębieniu niewielu. Odczyty popularne, szczególnie z dziedziny nauk ścisłych, nie wychodzą poza zakres pedagogiki, i dla tego też zasada powyższa powinna się do nich stosować w zupełności. Na nieszczęście nie każdy prelegent uprzytomnia ją sobie. Do takich należy dr. Hubert hr. Krasiński, który skupił tyle tematów w dwugodzinnej prelekcyi, że wystarczyćby mogły na rok cały. Huxley lub Vogt wzięliby za przedmiot dwugodzinnej prelekcyi albo trychiny, albo solitera, albo wreszcie bakterye i t. d. — p. Krasiński obciążył się wszystkimi pasorzytami. Nic więc dziwnego, że odczyt jego był raczej szeregiem krótkich urywanych wzmianek niż *lekcyą*. Gdyby przynajmniej tyle było złego! Pewnego rodzaju publiczność poprzestałaby na tem, gdyby wzmianki wzniosły się ponad objaśnienia, używane w menażeryach, i redukowały się do konstatowania, że taki a taki owad wygląda nieestetycznie, ma pyszczek i przebywa w tem a tem miejscu. A jednak p. Kr. nie więcej powiedział przynajmniej o połowie istot będących przedmiotem jego odczytów. Tak ciekawe stworzenia, jak soliter, trychiny, były zaledwie kilkunastu, czy kilkudziesięciu wyrazami określone — mówmy ściślej — zaznaczone. Tak ciekawy ze wszech miar przedmiot, jak bakterye, będące prawdopodobnie przyczyną wielu epidemij, odprawił prelegent z malutkim kwitkiem. Tyle co do układu odczytu. O wewnętrznej jego wartości jeszcze mniej pochlebny sąd wypaść musi. P. Kr. pokazywał jako *Aecidium* zupełnie inną istotę, znalazł *oczy u solitera*, zmięszał *wodorosty* z *wymoczkami*, uznał *sarcinę* za stadyum rozwoju *oscyllatoryów*, twierdził, że właściwa przyczyna cholery została już wykrytą w postaci grzybka i t. d. Pomimo to, wiedzą swą i dowcipami, mówiąc nawiasem, niewyborowymi (np. anilina bismark barwiąca pomiędzy innemi grzybek wyłysiający, przypominała mu łysinę Bismarcka) zdołał sobie zjednać przychylność znacznej liczby słuchaczów. Takie zachowanie się publiczności odbiera oklaskom całkowite znaczenie, albo też nadaje im wprost przeciwne, bo przekonywa, że często publiczne auditorium nie ma żadnego probierza do osądzenia wartości odczytu, a raczej, że ma zły, polegający na drażliwości lub zabawności tematu. Nie powinno to jednak zniechęcać ludzi, poważnie nauką się zajmujących, od występowania na katedrze publicznej. I owszem, okoliczność ta powinnaby ich tylko pobudzić do częstszego niż dotąd zaszczepiania w umyśle ogółu zdrowych pierwiastków naukowych i nauczyć, od jakich poziomów powinni rozpocząć swą pracę.

II.

P. Szczepaniak obrał za temat swego również dwugodzinnego odczytu trzęsienie ziemi w Zagrzebiu, a więc przedmiot jednolity i ściśle określony. Okazał się więc zwolennikiem powyżej przytoczonej zasady, ale pomimo to nie uczynił zadość wszystkim warunkom, wymaganym od prelegenta publicznego. Lecz występ p. Szczepaniaka był debiutem, więc nie możemy mu czynić zarzutu z tego, co zależy od doświadczenia. Nadto, głos słaby prelegenta wcale mu nie daje kwalifikacyi na mówcę publicznego. Po za tymi warunkami zewnętrznymi, odczyt zasługuje na wielkie uznanie. Znać w nim było dobre pojęcie rzeczy i sumienne jej opracowanie. Pod względem obfitości i ścisłości materyału praca p. Szczepaniaka kwalifikuje się do umieszczenia w poważnem wydawnictwie naukowym.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Franciszek Tomaszewski: **Chemia dla wyższych klas gimnazyalnych.** Przemyśl 1880.

Przypominam sobie, że podczas ostatniej wystawy paryskiej, Towarzystwo Fizyczne francuskie urządziło *kongres zajmujących się naukami doświadczalnemi*, na którym, w liczbie wielu bardzo kwestyj specyalnych, rozbierano jedną, nader ważną i ciekawą — nietylko ze względu na postęp nauki, lecz i ze względu na społeczne jej znaczenie. Zamierzano mianowicie na owym kongresie drogą szczegółowych badań statystycznych i literackich wy-

kazać, jaki jest wpływ decentralizacyi naukowej na ogólny rozrost wiedzy śród narodu i jakie ona przynosi korzyści postępowi samej nauki.

Nie wiem, jaki był rezultat badań kongresu nad powyższemi pytaniami; sama jednak forma, w jakiej stawiał kwestyę programu swojego, wyłączyła zupełnie rozwiązanie sprawy na niekorzyść decentralizacyi. I słusznie, boć proste, teoretyczne zastanowienie się nad przedmiotem wystarcza, by nabrać przekonania, że małe straty, a raczej usterki, mogące wypływać z decentralizacyi (jak np. błędne obserwacye, z powodu braku dobrych przyrządów; nieodpowiednia wiedza, z powodu braku bibliotek; jednostronność poglądów, z powodu braku zetknięcia się z ludźmi fachowymi) — są tylko chwilowe i mogą a nawet muszą być usunięte zczasem przez postęp samej decentralizacyi, nikną też w porównaniu z korzyściami, jakie ona przynosi i nauce i społeczeństwu.

Nie podobna jest, pisząc o tym przedmiocie, nie pomyśleć o Niemczech, gdzie każde miasto uniwersyteckie jest lub bywało siedzibą znakomitych badaczów lub myślicieli i nie porównać tego ojcowskiego dla nauk kraju z owemi państwami, gdzie zwyczaj, zresztą usprawiedliwiony, każe już z góry uważać za dobre tylko to, co stołeczne wymyśliły głowy i stołeczne odcisnęły tłocznie i gdzie zarówno gazety, jak i książki „prowincyonalne" są brane do ręki z pewną niechęcią, zresztą również usprawiedliwioną.

Te uwagi nasunęły mi się pod pióro, gdym odebrał *Chemię* p. Tomaszewskiego, wydaną w końcu roku zeszłego w Przemyślu. Należy się autorowi a zarazem i wydawcy wdzięczność za to, że wydając książkę w miejscu swego pobytu, przyczynia się choć trochę do utworzenia w kraju nowego ogniska ruchu naukowego i nie podąża pod skrzydła stołecznych firm i powag.

Niewielka książeczka p. Tomaszewskiego (86 str. in 8-o majori) ma czynić zadość istotnemu brakowi w naszej literaturze podręcznika chemii dla wyższych klas gimnazyalnych. Książka ta więc, już ze względu na samo swe przeznaczenie, musi odpowiadać pewnym specyalnym warunkom, — a mianowicie ma czynić zadość *ustawie szkolnej*, a nie wymaganiom *nauki* i *pedagogiki*, które często nie idą w parze z ustawą.

Z tego też względu skala do jej oceny musi być oparta jedynie na samej ustawie.

W gimnazyach klasycznych cały obszar chemii traktuje się jako mały rozdział fizyki, stąd też wynika zwięzłość i szczupłość książki p. T., który słusznie twierdzi, że odnośne rozdziały w podręcznikach fizyki są traktowane często błędnie, a zwykle niewystarczająco.

Wybór prawd i faktów, podanych przez p. T., jest naszem zdaniem trafny i właściwy; sam zaś sposób traktowania nie może ulegać krytyce, bo książka ta jest raczej konspektem, notatką do powtarzania a nie samym wykładem, z natury więc swej musi być suchą i, o ile można, zwięzłą. Celowi (znowu ustawy, a nie nauki) książka odpowiada, bo w małej objętości streszcza główne prawdy chemii, aczkolwiek zawiera pewne, a czasami nawet znaczne niedokładności. Tak np. wartościowość (atomowość) według autora mierzy siłę powinowactwa chemicznego, (str. 13) co bynajmiej miejsca nie ma (Würtz), bo siłę powinowactwa mierzyć można jedynie ilością wydzielanego przy łączeniu się ciał ciepła (Berthellot).

W innem znowu miejscu autor utrzymuje, że atomowość (wartościowość) jest ilorazem z ciężaru atomowego przez połączeniowy, co znowu dzieje się niezawsze i jest niejasne skutkiem samej niejasności pojęcia *ciężaru połączeniowego*.

Układ książki jest nawskróś dedukcyjny — zasady podane są we wstępie, stosunkowo dość obszernym (str. 1—18), po którym następuje część opisowa — traktowana już na zasadzie prawd we wstępie zawartych.

Układ taki, grzeszący być może przeciw pedagogice, jest nieuniknioną koniecznością, jeśli książka przy małej objętości, ma przedstawić możliwie największą liczbę prawd i faktów.

Język wielu miejscach nie jest bez zarzutu, co się zaś tyczy terminologii, to tej sprawy, jako zbyt u nas drażliwej, nie poruszam, przekładając spór o rzeczy, nad spór o wyrazy.

Tym z uczniów, których nauczyciele stosowaliby swój wykład do książki p. T. może ona bardzo się przydać jako zwięzła i treściwa.

J. J. Boguski.

LIBERUM VETO.

Dzewo genealogiczne kilku naszych pism według heraldyki *Nowosti.* — Nie w jeden takt. — Zagadkowość polityczna „młodej Polski." — Instytut głucho-niemych. — Skarga p. Wł. Mickiewicza. — Rachunek według katalogu księgarni Luksemburskiej. — Ojciec i syn. — Pomnik dla Adama. — Ofiara hr. Baworowskiego. — Po staszycowsku. — Nowy *Habdank.* — Oblizywanie się na zapis Kickiego. — Projekt nowego artykułu w Kodeksie.— Trudność poczucia solidarności.— Chmielowski.

„Wlazł na gruszkę, siał pietruszkę," i taka mu na zagonie *Nowosti* urodziła się cebula, że — mówiąc językiem polskiej zagadki — rozbierając ją z koszulek, aześmy płakali.... od śmiechu. Na wstępie dzisiejszego numeru czytelnicy znajdą wzmiankę o liście niejakiego S. L., pomieszczonym w tej gazecie, która chcąc nas obronić od podejrzeń, śród bardzo rozumnych uwag nakreśliła takie drzewo genealogiczne kilku pism polskich i takiego im dała antenata, że one niezawodnie aż zajrzały do swoich metryk. Nie będę tego rodowodu prostował szczegółowo, gdyż musiałbym otworzyć akta rodzinno-dziennikarskie, które lepiej niech pozostaną zamknięte; zwrócę tylko uwagę *Nowosti* na jedną ważną okoliczność. Mianowicie, *Ateneum*, *Nowiny* i *Prawda* nietylko nie słuchają taktu, wybijanego im batutą mniemanego dyrektora w warszawskiej orkiestrze „młodej Polski," ale nawet samodzielnie przypisywanego im hymnu politycznego dotąd nie odegrały. Pomijając zupełnie odrębną partyturę pisma dołączonego do trzech wymienionych, ani bas *Ateneum*, ani altówka *Nowin*, ani skrzypce *Prawdy* nie odezwały się tak wyraźnie o plemiennej „solidarności," ażeby można było takie lub inne libretto podkładać pod ich polityczną melodyę. Nie przeczę, iż *Nowosti* coś odgadują, ale to pewna, że tylko odgadują. Tak zwana „młoda Polska," o ile ona wyraża się w powyższym tercecie dziennikarskim, rzeczywiście daleko więcej niż „stara Polska" zajmowała się wyświetleniem naszych stosunków politycznych; i ona jednak nie miała dotąd możności wypowiedzieć swoich poglądów całkowicie, szczerze. Często zakrywamy całą twarz, żeby ona odsłoniła do połowy nie przedstawiła się fałszywie, ułomnie. Zanim więc zszeregowani zostaniemy pod jedną chorągiew, trzebaby się dowiedzieć dokładnie, o co każdy walczyć zamierza. Gdyby mnie spytano, w czyje „objęcia" prasa nasza wraz ze społeczeństwem rzucićby się chciała, doprawdy, wyjąwszy za siebie, za nikogo nie umiałbym odpowiedzieć, podobnie jak nie umiałbym odpowiedzieć, kogo lubi niemy. Wprawdzie ze znaków mimicznych, których sztuka doszła u nas do znakomitego wydoskonalenia, można pewnych uczuć się domyśleć, porozumieć się jednak ściśle trudno, a czasem niepodobna. Dziennikarstwo zaś nasze jest dotąd instytutem głucho-niemych (po części i ociemniałych!), w którym są rzeczywiście rozmaite usposobienia, ale język wspólny.

No, niezupełnie głucho-niemych, bo przecie są sprawy, w których możemy się nagadać do woli. Tak np. nic nam nie przeszkadza posprzeczać się nieco z p. Władysławem Mickiewiczem. W liście, pomieszczonym w *Bibliotece Warszawskiej*, syn wielkiego poety pisze między innemi objaśnieniami: „Wogóle, tomy we francuskim języku wydane mało rozchodzą się, ponieważ mało poszukiwane przez publiczność polską, a cudzoziemcy niezaciekawieni naszą literaturą,.. Wydania *Korespondencyi* mało się rozeszło, i dla tego IV tom tej korespondencyi z nowymi listami, nie wiem, kiedy na świat wyjdzie i t. d." P. W. Mickiewicz zatem skarży się, że dzieł jego ojca nie kupujemy. Zobaczmy, ile ta przyjemność kosztuje według katalogu Księgarni Luksemburskiej.

1) *Nowe wydanie zupełne*, 6 tom. franków 90 — czyli rubli 36.
2) *Korespondencya*, 3 tom. fr. 30 — t. j. rs. 12.
3) *Współudział w sprawie A. Towiańskiego*, 2 tom. fr. 20— rs. 8.
4) *Melanges posthumes*, 2 t. 11 fr. 75 c.— t. j. rs. 4 kop. 50.
5) *Memorial*, t. 1. fr. 5 — t. j. rs. 2.
6) *La politique du dix-neuvieme siecle*, fr. 5 — rs. 2.
7) *Vie de St. Albert*, fr. 5 — rs. 2.

Razem więc dzieła nieśmiertelnego Adama w wydaniu jego syna kosztują około 70 rs. — nie licząc w to prelekcyi, które łącznie z niewydanemi kosztowałyby drugie tyle. Niech p. Wł. Mickiewicz daruje naszemu ubóstwu, ale nie wielu mamy śród nas takich szczęśliwców, którzyby mogli zapłacić około 100 rs. za dzieła nawet takczczonego poety, jakim jest jego ojciec. W epoce, w której Goethego i Schillera można dostać za kilka talarów, w której nawet zmonopolizowani jeszcze przez rodziny Heine i Börne ukazują się w kilkunastotalarowych wydaniach, nie należy tak opodatkowywać książek, któremi cały naród się karmi. Zresztą, gdyby żył wielki ojciec i kazał nam płacić tak słono za swoje arcydzieła, nie szemralibyśmy wcale: dużo nam dał, dużo wziąć powinien. Dowodem obfite składki, jakie się sypią do skarbonki *Tygodnika Illustrowanego* na pomnik dla śpiewaka *Sonetów Krymskich*. Każdy rękę z groszem wyciąga, każdy chce być ziarnkiem w tej bryle marmuru, z którego wyjdzie i w Krakowie stanie postać genialnego wieszcza.

Inaczej rzecz się ma z synem, który występuje przed nami tylko jako księgarz. Z nim możemy się targować i powiedzieć: nie kupujemy pańskich wydawnictw, bo są dla nas za drogie; o ile zaś dzieła mistrza są nam niezbędne do życia duchowego, nabywamy je w edycyach lipskich, lwowskich lub wreszcie warszawskich. Skutkiem tego ogół zna *Pana Tadeusza*, *Dziady*, słowem poezye Adama, ale nie zna jego *prelekcyi*, *korespondencyi* i broszur politycznych. Bo i któż jest w stanie za tom listów zapłacić rs. 4?

Chyba pomoże nam hr. Baworowski, który ze swego rogu obfitości sypnął aż 2 miliony zł. reńs. na cele oświaty i dobroczynności. Zaiste po pańsku! Czyż po pańsku? Czy prawdziwy nasz magnat, posiadający 2 miliony zł. reńs., przeniewierzyłby się tak dalece tradycyi? *Pan* Baworowski postąpił nie jak *hrabia* Baworowski, postąpił — mówmy szczerze — po chłopsku, po staszycowsku. Zamiast ozłocić półświat paryski, pobawić się w Monco, wychować jakiegoś genialnego *Farysa*, któryby brał pierwsze nagrody na wszystkich wyścigach i doczekał się za życia swego wize-

runku w warszawskich ilustracyach — on marnuje pieniądze na szkoły i zakłady dobroczynne! Gdy to robi Wołłowicz, Kicki — *çela va sans dire* — ale hrabia! Doprawdy p. Baworowski przestał być arystokratą imienia a stał się arystokratą czynu. Czytelniku, uczcij wraz ze mną tego świeżego *Habdanka*.

Jak wiadomo wam zapewne skądinąd, olbrzymi zapis Wołłowicza dla włościan został sądownie unieważniony, o co spierać się trudno, jeżeli istotnie groziła mu... zmiana adresu. Przykład ten podziałał widocznie na kogoś z łakomych, bo jak przebąkiwa p. Praw. w *Kuryerze Warszawskim* podobna kolej czeka świeżo zatwierdzony legat Kickiego. Jeżeli proces w sprawie tego legatu zostanie rzeczywiście wytoczony i wygrany, należałoby do Kodeksu Cywilnego wprowadzić następujący paragraf: „Żaden zapis na użyteczność publiczną nie może być dopełniony tak formalnie, ażeby go spadkobiercy nie obalili. I dla tego szlachetni testatorzy zechcą się daremnie nie fatygować i kłopotu ani wykonawcom swej woli, ani sądom nie robić.“ Co do mnie, gdybym kiedy wpadł w rolę egzekutora testamentu, ofiarującego społeczeństwu znaczną sumę, wezwałbym przez pisma wszystkich spadkobierców, nawet posiadających jedynie tytuł znajomości z nieboszczykiem, i powiedziałbym: moje dziateczki, jeżeli ten wasz kuzyn darował wszystkim swój majątek, to przecie go i wam darował. I zapewnieby moja perswazya poskutkowała, gdyby tak łatwo było wobec pieniędzy poczuć... solidarność społeczną.

Liberum veto. Telegraf doniósł, że do katedry historyi literatury polskiej w uniwersytecie warszawskim przedstawiony został nie dr. P. Chmielowski, lecz p. Józef Przyborowski. Co to znaczy? Co znaczyły doniesienia, że profesorowie polacy, którym ta sprawa została poruczona, wybrali Chmielowskiego? Zresztą niepotrzebna nam powaga reporteryi; spytajmy raczej, kto z pomiędzy nas od niego do tej roli właściwszy? Gdy zacny Józef Przyborowski wejdzie na katedrę języka polskiego, którą w Szkole Głównej tak zaszczytnie i pożytecznie zajmował, przyklaśniemy mu z serca; ale na katedrę historyi literatury polskiej wejść może, a przynajmniej powinien tylko Chmielowski. Zapomnijmy o gustach i wpatrzmy się jedynie w dobro instytucyi, w ważność tego tak dawno oczekiwanego stanowiska, a przyznamy, że nikt lepiej przed sercami i umysłami młodzieży nie odsłoni zakrytego świata naszej literatury, jak człowiek, który się w nim tak umiejętnie i szeroko, rozejrzał, tak gruntownie kilka jego zagonów uprawił. Nie głosowaliśmy wcale na kandydatów, bo widzieliśmy tylko jednego, bo nie sądziliśmy, ażeby ktokolwiek mógł mu odmówić swej kreski. Czekaliśmy chwili, w której będziemy mogli publicznie powinszować uniwersytetowi dzielnego przewodnika, a jemu — poważnej godności. Dziś, gdy nas telegram zadziwia, dorzucamy nasze słowo, nie rozstając się wcale z nadzieją, że historyę literatury polskiej będzie wykładał w uniwersytecie najlepszy jej między nami znawca. Inaczej powtórzymy z wielkim naciskiem nasze *liberum veto*.

Poseł Prawdy.

PROCES PRZECIW SPRAWCOM ZAMACHU

z 13 marca.

W dniu 8 kwietnia o godzinie 11 rano w sali sądu okręgowego w Petersburgu, rozpoczęto sprawę sześciorga oskarżonych o królobójstwo. Prezydował senator Fuchs, obowiązki ober-prokuratora pełnił Plewe, oskarżał Murawjew. Obrony podjęli: Unkowski — Rysakowa, Hartulari — Michajłowa, Gerke — Hessy Helfmann, Kedrin — Pierowskiej, Gerard — Kibalczycza. Żelabow sam sam się bronił. Świadków przywołano 75, ekspertów 11.

Osobistości i przestępstwa podsądnych, jak widać z aktu oskarżenia, przedstawiają się w sposób następujący:

1) *Rysakow* Mikołaj, mieszczanin z Tychwina, wieku lat 19 (blondyn, nizkiego wzrostu) usiłował podburzać robotników do przewrotu politycznego i społecznego, uczestniczył w zebraniach grup agitacyjnych, nakoniec w dniu 13 marca, wskutek namowy podsądnych Żelabowa i Perowskiej, rzucił pocisk, który strzaskał karetę zgasłego Cesarza i zranił kilku ludzi.

2) *Żelabow* Andrzej, rodem z gub. taurydzkiej lat 30 (brunet z gęstym zarostem na twarzy), kierował spiskiem na życie Cesarza pod Odessą, Aleksandrowskiem i w Petersburgu 13 marca, gdzie również pracował przy podkopie na Małej Sadowej.

3) *Pierowskaja* Zofia, wieku lat 29 (szatynka, średniego wzrostu), przyjmowała czynny udział w zamachu pod Moskwą, w dniu zaś 13 marca, po przyaresztowaniu Żelabowa, objęła po nim dowództwo nad spiskowcami.

5) *Michajłow* Tymoteusz, włościanin gub. smoleńskiej, lat 21 (barczysty, blondyn), wiedział o spisku i podczas ostatniego zamachu czekał z pociskiem na przejazd Cesarza.

5) *Kibalczycz* Mikołaj (średniego wzrostu, brunet), przygotowywał przyrządy wybuchające, które miały służyć do zgładzenia Monarchy.

Nadto wszyscy podsądni oskarżeni zostali o agitacyę rewolucyjną, o rozszerzanie książek treści występnej, o napad z bronią w ręku i t p.

Po odczytaniu aktu oskarżenia przystąpiono do badań podsądnych i świadków.

Rysakow przyznał się, że należy do ruchu socyalno-rewolucyjnego, a chociaż nie do stronnictwa „Narodnoj Woli,“ lecz do „Czornawo pieredieła;“ że widząc nieszczęścia i klęski narodu, chciał mu pomódz i że w tym celu dopuścił się przestępstwa 13 marca. Przyznał się również do stosunków z Żelabowem i Pierowską, którym przypisał organizacyę spisku. Zeznania jego głównie oświetliły sprawę.

Michajłow potwierdził swoje uczestnictwo w partyi socyalno-rewolucyjnej z odcieniem terrorystycznym. Bronił robotników, bo sam nim jest, nie przyznał się jednak ani do udziału w podłożeniu miny na Małej Sadowej, ani do udziału w przestępstwie 13 marca.

Helfmann Hessa oświadczyła, że z przekonań należy do stronnictwa rewolucyjnego i podziela program „Narodnoj Woli,“ że była gospodynią spiskowego mieszkania, ale że nie uczestniczyła ani w zebraniach, ani w zamachu 13 marca.

Kibalczycz, wyłożywszy szczegółowo dążenia „Narodnoj Woli,“ zaznaczył, że jest zwolennikiem „chodzenia między lud,“ które miało na celu zlanie się z masą narodu. Działalność ta, według niego, ma charakter czysto cywilizacyjny. „Gdyby władze — dodał — zachowały się względem partyi naszej patryarchalnie, nie bylibyśmy teraz oskarżeni o królobójstwo.“ Dalej przyznał, że jako technik-teoretyk przyjmował udział w zamachach pod Moskwą, Aleksandrowskiem i Odessą, że przeczytał kilkanaście książek w obcych językach dla zbadania tajemnicy przyrządów wybuchających, że przygotował dynamit, że miewał o nim wykłady na posiedzeniach spiskowców, że był na próbie po za miastem, że dawał wskazówki i że wiedział o dniu ostatniej katastrofy.

Pierowskaja wyznała, że jest agentką partyi „Narodnoj Woli“ i komitetu wykonawczego. Dała niektóre wyjaśnienia co do celów partyi „Narodnoj Woli,“ oraz potwierdziła swój naczelny udział w zamachu 13 marca.

Nakoniec Żelabow w długiej przemowie wyjaśnił, że jest członkiem partyi „Narodnoj Woli“ skutkiem wewnętrznych przekonań i że pełni okowiązki agenta komitetu wykonawczego. Przyznał się, że pracował w urządzeniu podkopu na Małej Sadowej. Następnie opisał niedoszły do skutku zamach pod Aleksandrowskiem. Zaznaczył, że należy już od kilku lat do partyi rewolucyjnej i że przeto ma za sobą pewne rewolucyjne zasługi. Wreszcie zapewnił, że komitet wykonawczy polecił mu przygotować zamach, czego też ściśle dopełnił.

Przystąpiono do zbadania świadków, którzy tylko stwierdzili szczegóły, czytelnikom znane.

W trzecim dniu sądzenia sprawy zabrali głos obrońcy i prokurator, który po długim, pięciogodzinnym wywodzie, zażądał kary śmierci dla wszystkich sześciorga, bez wyjątku.

Dalej nastąpiły mowy adwoktów i Żelabowa.

O godzinie 10 m. 20 wieczorem d. 10 kwietnia nastąpiło ostatnie przemówienie podsądnych.

O północy przeczytano 24 pytań, które pozostały bez zarzutów.

O 3 w nocy prokurator odczytał wnioski o zastosowaniu stopnia kary.

O 7 zrana 11 kwietnia odczytano decyzyę Specyalnego Wydziału Senatu następującej treści:

„Specyalny Wydział Senatu z mocy artykułów 9, 13, 18, 139, 152, 241, 242, 243 i 1459 kod. kar. gł. i popr. postanowił: podsądnych Żelabowa, Pierowską, Kibalczycza, Rysakowa, Helfmanową i Michajłowa *skazać na karę śmierci przez powieszenie*. Odnośnie do Pierowskiej, jako szlachcianki, wyrok niniejszy na zasadzie 945 art. ust. post. krym. przedstawić do decyzyi Jego Cesarskiej Mości za pośrednictwem ministra sprawiedliwości.

Wyrok ten w formie ostatecznej przeczytano podsądnym 12 kwietnia o godzinie 5 popołudniu, a d. 15 o godz. 9 rano na placu Siemionowskim wykonano. Tylko co do Helfmanowej, z powodu brzemienności, odłożono.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 13 kwietnia.

Na czele spraw politycznych stanął w porządku dziennym Tunis, o którym wzmiankowaliśmy już w poprzednim tygodniu. Jak dziś kwestya się rozwinęła, — nie jestto już nadgraniczna awantura zpółdzikiemi plemionami, lecz w całem znaczeniu słowa to, co się nazywa w języku dyplomatycznym „wielką akcyą“ międzynarodową. Interesowane są tu bezpośrednio Włochy i Francya, rywalizujące o wpływ na gruncie tunetańskim, a po za niemi interesowaną jest pośrednio Anglia, jakkolwiek się tego mocno wypiera. Idąc dalej, możnaby nawet Niemcy do tej kategoryi interesowanych zaliczyć, a to na tej podstawie, że każde wplątanie się Francyi w operacyę wojenną, choćby tak niewielką, jak być może wyprawa tunetańska, uspokaja obawy Niemiec, aby się z odmłodzonemi siłami rzeczypospolitej nie spotkały na *swojej drodze*. Tem też tłomaczyć tylko można wiadomości dzienników francuskich z Berlina, że ks. Bismarck nader przychylnie zachowuje się względem akcyi francuskiej w Tunisie i nawet wpływa na nią podniecająco. Podniety tej wszelako francuzi nie potrzebują wcale. Gorący temperament narodu znajduje zadowolenie w zajęciu zewnętrznem, armia świeżo zreorganizowana pragnie „powąchać prochu“ chociażby z tunetańczykami, a nadewszystko względy na tak zwaną „sferę potęgi mocarstwowej“ nakazują działanie, aby

raz już silną stopą stanąć na terytoryum sąsiedniem Algieryi i zajmującem znaczny pas wybrzeża morza Śródziemnego, gdzie w przypadku opieszałości Francyi usadowiliby się włosi. Rozmiary tej operacyi na ciele północnej Afryki, kombinacye, jakie politycy osnuwają na tej ponętnej kanwie, sięgają dziś już bardzo daleko. Czytamy np. w dziennikach zachodnich, że ze strony dyplomacyi angielskiej podniesiono jakoby projekt pogodzenia interesów francuskich i włoskich w ten sposób, aby Francya zabrała Tunis, zostawiając Włochom Trypolis, przyczem — dodać trzeba — Anglia ugruntowałaby się jako samowładna w Egipcie. Są to jednak plany odleglejsze, do których droga nie jest bynajmniej tak gładką, jakby się to wydawać mogło. Tymczasem jeszcze antagonizm francusko-włoski na tym gruncie stanowi najwybitniejszą cechę całej sprawy. Rząd rzeczypospolitej nie tai się wcale z tem, iż nie myśli zupełnie krępować się względami na czyjeś interesy lub pretensye. Stanowisko to objawiło się nawet w sposób dość drastyczny. Gdy bowiem Cairoli oświadczył był w parlamencie, iż Francya zapewniła, że nie ma zamiaru wyzyskiwać dla siebie stosunków w Tunisie, pan Barthelemy przesłał reprezentantom francuskim za granicą okólnik, w którym wprost zadał kłam słowom włoskiego prezesa ministrów. Francya—powiada Bathelemy—żadnych względem kogokolwiek nie przyjęła zobowiązań; Francya posiada zupełną swobodę działania, a działanie to posunie — wedle słów Ferrego wyrzeczonych w Izbie — tak daleko, jak tego bezpieczeństwo przyszłości Algieru wymagać będzie. Stan taki spowodował już upadek gabinetu Cairolego, który tym sposobem pierwszy padł ofiarą zatargu z Francyą. Po dziś dzień nie wiadomo jeszcze, kto stanie teraz na czele rządu we Włoszech a tem samem niepodobna ściśle wnioskować o dalszym kierunku polityki włoskiej. Jak dotąd, wykładnikiem jej jest tylko zachowanie się beja tunetańskiego, który opanowany przez podszepty p. Maccio, konsula włoskiego, stawia się okoniem Francyi, protestuje przeciw ewentualnemu naruszeniu granicy a nawet podobno ma się odwołać z apelacyą do Europy. Ucieczka to wątła, a tymczasem wojska francuskie może już w tej chwili wkroczyły na terytoryum tunetańskiej regencyi.

Ciekawy epizod wewnętrzny wywiązał się we Francyi z okoliczności sprawy tuniskiej. Dla zluzowania wojsk, które z Algieru mają pójść na wyprawę, zarządzono mobilizacyę pewnej części armii. Otóż okazać się miało, że uruchomienie to odbyło się w sposób bardzo niezadawalający. Pojedyńcze kolumny wojsk nie były w stanie wykonać odnośnych rozkazów a intendentura zarekomendowała się po prostu niedołężnie. Tak piszą dzienniki, a jest w tem podobno, odtrąciwszy trochę przesady, znaczna część przykrej prawdy. Słychać nawet o dymisyi ministra wojny, generała Farre. W prasie niemieckiej radość stąd ogromna.

W sprawie zbiorowej kampanii przeciw „międzynarodowej rewolucyi“ odbywają się obecnie konferencye między Bismarckiem a posłem rosyjskim w Berlinie p. Saburowem, co do inicyatywy; w jakiej ona wystąpi formie, dotąd pewności niema.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Wystawa przemysłowo-artystyczna w Moskwie odłożoną została do przyszłego roku. Przedmioty które wysłane być miały na nią z Królestwa, pomieszczone zostały w pałacu Brühlowskim w Warszawie, gdzie staraniem muzeum przemysłowego urządzoną zostanie czasowa wystawa. Jako termin jej otwarcia wyznaczono dzień 24 b. m.

— **Stowarzyszenia.** W Kole literacko-artystycznem w Krakowie obchodzono rocznicę śmierci Juliusza Słowackiego. Po przemówieniu Asnyka nastąpił odczyt Adama Bełcikowskiego: *O Słowackim.*

Literatura polska. Zeszyt kwietniowy *Biblioteki warszawskiej* zawiera prace następujące:

Historycy współcześni, jako statyści. Przyczynek do dziejów teoryi politycznych w wieku bieżącym, przez dr. I. B. Oczapowskiego; *Dzieje szlachty okolicznej w owruckim powiecie*, przez dr. Antoniego J.; *Siostra miłosierdzia*, powieść (ciąg dalszy); *Kwestya irlandzka*, przez Edmunda Naganowskiego; *Przegląd pedagogiczny; Kronika paryska; Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego; Korespondencya; Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne; Nekrologia.*

— Dr. Anatol Lewicki wydał w Przemyślu: *Obrazki z najdawniejszych dziejów Przemyśla.*

Jest to nader cenna monografia obejmująca prawie całą Ruś Czerwoną.

— Dr. Kajetan Orlicki wydał ciekawą pracę p. t. *Sprawa owładnięcia i użycia wód lądowych, jej wpływ na przemysł rolniczy.* Autor podawszy ustawy wodne, istniejące w większych państwach europejskich, przedstawia stan prawodawstwa odnośnego w Galicyi i zwraca uwagę na to, co w gospodarstwie wodnem dotychczas zrobiono i co uczynićby należało.

— Wyszedł z druku *Przewodnik po Nałęczowie i jego okolicach*, ułożony staraniem dyrekcyi zakładu leczniczego w Nałęczowie.

— Firma Gebethnera i Wolffa zapowiada wydawnictwo *Historyi literatury powszechnej* d-ra Jana Scherra w przekładzie p. Bronisława Zawadzkiego. Przekład dokonanym być ma z szóstego wydania oryginału niemieckiego, z dodaniem przypisków i uzupełnień, oraz pomnożeniem działu literatury słowiańskiej.

— Encyklopedyi wychowawczej, ósmy zeszyt I tomu wyszedł z druku i zawiera artykuły: *Austrya, Bacon, Bahrdt, Bajka, Bandtkie, Barat, Bar-mienea.*

Dziennikarstwo polskie. *Gazeta Rolnicza* pomieszcza w ostatnim numerze portret p. Aleksandra Nostitz-Jackowskiego, oraz artykuł, wykazujący zasługi położone przezeń dla naszego społeczeństwa w skutek głośnej sprawy o pisanie skarg do sądów gminnych w języku polskim.

Dziennikarstwo zagraniczne. W Gdańsku wychodzić zaczęło w marcu r. b. pismo, które zamieszczać będzie wyłącznie ogłoszenia międzynarodowe z dziedziny przemysłu, handlu i komunikacyi. Pismo to wychodzi raz na tydzień w językach niemieckim, polskim i ruskim p. t. *Internationaler Anzeiger für Industrie, Handel nnd Verkehr.*

Literatura francuska. Wiktor Hugo nie spoczywa na laurach. Przygotował on świeżo do druku nowy poemat dwutomowy, który nosi tytuł dość oryginalny: *Cztery wiatry ducha.* Poemat składa się z czterech pieśni, poświęconych poezyi dramatycznej, epicznej, lirycznej i satyrycznej.

Literatura angielska. Georg Bancroft, autor słynnej *History of the United States,* przygotował do druku dalszy ciąg cennej tej pracy, który ukazać ma się w 2 tomach p. t. *History of the constitution of the United States.* Dzieło to wyjdzie nakładem D. Appletona et C. w New-Yorku.

Malarstwo i rzeźba. A. de Neuville, znakomity malarz bitew, wykończył nowy, znacznych rozmiarów obraz, przedstawiający *Potyczkę na cmentarzu St. Privat.*

— Alma Tadema, słynny malarz angielski, ukończył nowy obraz: *Sapho i Alpheusz.*

— Witold Piwnicki, malarz, pracuje obecnie nad obrazem znacznych rozmiarów, przedstawiającym: *Przeprawę Lisowczyków przez Ren.*

Muzyka. W teatrze hamburskim wystawiono nową operę p. t. *Die schöne Melusine,* Teodora Hentschel, dyrektora orkiestry w teatrze bremeńskim.

Teatr. W teatrze lipskim wystawiono nową tragedyę Józefa Weilen p. t. *Król Eryk.*

— Otto Roquette napisał nową tragedyę p. t. *Der Feind im Hause*, którą wystawiono na scenie darmsztatskiej.

— W teatrze Manzoniego w Medyolanie wystawiono z wielkiem powodzeniem operę komiczną p. t. *Wesele w areszcie*, napisaną przez Usiglio

— Ernest Rossi, słynny tragik włoski, rozpoczął szereg występów na scenie berlińskiej opery w *Otellu, Hamlecie* i *Królu Lirze.*

— W Hamburgu wystawiono nową pięcioaktową tragedyę Karola Weiser p. t. *Nero.*

— Na scenie poznańskiej wystawiono na benefis p. Rapackiego utwór jego: *Pro honore domus.*

— W taatrze krakowskim przedstawiono z powodzeniem sztukę ludową Dominika Dorowskiego p. t. *Kąkol.* Na tejże scenie odegrano w tych dniach oryginalną komedyę p. Kliszewskiego p. t. *Argonanci.*

OGŁOSZENIA.

Dołączony do PRAWDY dodatek jest **bezpłatnym**, wszystkim więc abonentom zeszłokwartalnym kantory pośredniczące w prenumeracie winny go dostarczyć darmo.

Szan. abonenci zechcą nam natychmiast donosić o każdej nieakuratności w odbiorze PRAWDY. Pismo nasze wychodzi w sobotę w południe; prenumeratorom miejskim powinno być dostarczone tegoż dnia lub w niedzielę; na prowincyę poczta ekspedyuje w poniedziałek.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Апрѣля 1881г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.